

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Juillet-Août 1971

Price 20 p.

Cena 20 p.
\$ 0.50; 2.70 F.



ORZEŁ BIAŁY

LIPIEC—
SIERPIEŃ
1971

Nr 84-85/1231-1232

SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



Prem. W. WITOS



W. prem. I. DASZYŃSKI



GEN. K. SOSNKOWSKI



Marszałek J. PIŁSUŃSKI



GEN. B. WADOWSKI



GEN. J. HALLER



GEN. W. SIKORSKI

ŁUDZIE ZWYCIĘSTWA W ROKU 1920

FP 2156

<i>Gen. K. Glabisz:</i> Święto Żołnierza	1
<i>F. Chrzanowski:</i> Anglia na drodze do Wspólnego Rynku	2
<i>M. Kubiak-Żytomirska:</i> Wsadzeni na zakrętach	4
<i>W. Netter:</i> I znowu „Porządek panuje“ w Pradze	8
<i>K. Brzozowska:</i> Bazy sowieckie i Kanał Sueski	10
<i>A. Stambrowski:</i> Tchórzostwo a instynkt samozachowawczy	12
<i>M. Hemar:</i> Przy okazji	14
<i>M. Wyrwicz:</i> Katyń w oczach Rosjanina	19
<i>J. Surynowa-Wyczółkowska:</i> „Nieutulona w żalu“	21
<i>E. Żytomirski:</i> Konformizm i miłość	23
<i>J. P. H.:</i> Między plotką i anegdotą	26
<i>F. Goldschlag:</i> Eneida	28
<i>J. Ostrowski:</i> „Głupi Jakub“ Ritnera	32
<i>Kage:</i> Przegląd spraw wojskowych	33
<i>Z. Frenkiel:</i> Moja metoda językowa	34
<i>Z życia polskiego</i>	37

Radio Warszawa w dniach 11 i 12 czerwca br., a za nim prasa reżymowa poinformowała społeczeństwo polskie w Kraju, że wystąpienia reżymu na drodze dyplomatycznej przeciwko Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa znalazły poparcie emigracji polskiej. Dyngitarze komunistycznej Polski wiedzą dobrze, że informacja ta jest oczywistym fałszem, gdyż opiera się w najlepszym wypadku na oświadczeniu garstki zaprzędanych reżymowi oportunistów.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, jak i cała niepodległościowa emigracja w W. Brytanii i w innych krajach nie ma i nie chce mieć nic wspólnego ze wspomnianym oświadczeniem.

Reżym komunistyczny w Polsce niezależnie od tego kto stoi na jego czele, nie dopuszcza do Kraju wydawnictw i prasy emigracyjnej.

Obecna góra partyjna, która doszła do władzy po buncie grudniowym, wbrew własnej tezie, że do buntu doszło na skutek braku wymiany informacji pomiędzy społeczeństwem a rządzącymi, sama stosuje stare metody kłamliwej propagandy oraz prewencyjną cenzurę, nie chcąc by społeczeństwo miało swobodny dostęp do wszystkich źródeł informacji. A jak wiadomo, Rozgłosnia RWE nie tylko przynosi wiadomości o wydarzeniach na Zachodzie, ale również informuje o wydarzeniach w Kraju, które reżym chciałby zataić.

Niedopuszczanie do Polski emigracyjnych wydawnictw i atak na Polską Rozgłosnię Radia Wolna Europa świadczą, że słowa prawdy idące z emigracji są dla reżymu groźne.

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

MAJOR-GENERAL J. F. C. FULLER
C.B., C.B.E., D.S.O.

**THE BATTLE
OF WARSAW, 1920**

przedruk z książki
„The Decisive Battles of the
Western World“

z okazji 50-tej rocznicy
zwycięstwa
nad armią bolszewicką

Cena 15 p. z przesyłką 17 p.

KSIEGARNIA SPK,
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

**Z J A Z D D E L E G A T Ó W K Ó Ł S. P. K.
W WIELKIEJ BRYTANII**

odbędzie się w LONDYNIE

w sobotę, 17-go i niedzielę — 18 lipca br.

GRYF PUBLICATIONS LTD.

P O R A D N I K

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego
Zagranicą

KSIAZKA NIEZBEDNA W REKACH KAZDEGO NAUCZYCIELA
POLSKICH SZKÓŁ SOBOTNICH

Do nabycia:

Cena: 50 p.

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

NASTĘPNY NUMER

„ORŁA BIAŁEGO“

UKAŻE SIĘ 1 WRZEŚNIA



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

84/1231 i 85/1232

LIPIEC-SIERPIEŃ 1971

Rok XXXI

Gen. K. GLABISZ

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

NADCHODZI znów sierpień, miesiąc o największym nagromadzeniu rocznie bitewnych naszego oręża: wymarszu „kadrówki“, „cudu nad Wisłą“, ostatniej w dziejach wielkiej bitwy kawaleryjskiej pod Komarowem, początku „battle of Britain“, wybuchu Powstania Warszawskiego, wreszcie zwycięskich bojów naszej I dywizji pancerniej w Normandii, o rocznicach dawniejszych nie mówiąc.

Z najwspanialszą i najdonioślejszą z tych rocznic, czyli z wiekopomnym triumfem oręża polskiego pod murami Warszawy z roku 1920, zostało związane nasze Święto Żołnierza, w Polsce Ludowej zabronione i na październikową rocznicę pierwszego boju Berlingowców pod Lenino przesunięte. Nie wolno bowiem polskim janczarom sowieckiego marszałka Jakubowskiego przypominać, że w sierpniu przed laty ich ojcowie „niezwyciężoną“ armię czerwoną rozgromili i prawdziwą, nie pozorną niepodległość Polski ugruntowali.

Mimo to dzień 15 sierpnia pozostał właściwym Świętem Żołnierza nie tylko dla nas wolnych, choć nieuzbrojonych żołnierzy Rzeczypospolitej. Zarówno dlatego, że sierpniowe zwycięstwo uchroniło Polskę i Europę przed czerwonym potopem, jak i dlatego, że zostało odniesione w sytuacji na pozór beznadziejnej.

Upojone lipcowymi sukcesami hordy bolszewickie, niosące, w myśl rozkazu ich wodza Tuchaczewskiego, „rewolucję światową na swoich bagnietach“, zalały już połowę niedawno wyzwolonej Polski, nasze oddziały były wycieńczone i zdecymowane, a w Białymstoku tworzył się z poręki Moskwy — komunistyczny „rząd polski“, jak w 24 lata później w Lublinie. Czerwona międzynarodówka coraz skuteczniej sabotowała dostawy broni i amunicji, idące głównie z Francji, a świat ponownie wymazywał Polskę z mapy Europy.

A jednak znów „Dawid“ pokonał „Goliata“. Nawałnica bolszewicka została nie tylko zatrzymana, ale w 10-dniowym, niezmotywowanym „blitzkriegu“ stłamszona i na razie nad Niemen odrzucona. „Nie marnego walca“, jak później napisał marszałek Piłsudski, „lecz wściekłego galepa rznąła muzyka wojny“. Z pewnych

łatwego i ostatecznego zwycięstwa czterech armii bolszewickich, które parły ku Warszawie lub ją od północy obchodziły i już do Brodnicy, Płocka i Radzimina dotarły, wymknęła się z potrzasku tylko jedna (3-cia), bo już 25 sierpnia wielkopolskie dywizje dotarły do granicy Prus Wschodnich, a nasza 5 armia poszarpała najbardziej na zachód zaawanturowaną 4 armię i korpus konny Gaja. Ilu bolszewików poległo, nie wiadomo. Do niewoli dostało się blisko 70.000, a około 40.000 uciekło do Prus Wschodnich i tam broń złożyło.

Druga faza naszej kontrofensywy, nazwana bitwą nad Niemnem a przeprowadzona z niemiejszym rozmachem, rozgromiła najeżdżęc ostatecznie i zmusiła (po dojściu naszych oddziałów nad Dźwinę oraz do Mińska i Korostenia) Moskwę do podpisania 18 października rozejmu i do zawarcia w roku następnym traktatu ryskiego, który wprawdzie przekreślił ja-giellońskie koncepcje Piłsudskiego, ale dał Polsce znaczną część jej dawnych ziem wschodnich i 19 bezcennych lat prawdziwej niepodległości.

Toteż lord D'Abernon nazwał bitwę warszawską „osiemnastą decydującą bitwą świata“, a Stanisław Stroński „cudem nad Wisłą“. Była nim na pozór istotnie. Zwłaszcza dla niewtajemniczonych, którzy nie zdawali sobie sprawy ani ze zmian w morale i stosunku sił obu stron, ani z błędów i zaniedbań dowództwa bolszewickiego, ani z genialności ryzykownego planu

operacji, powziętego 6 sierpnia przez marszałka Piłsudskiego — po odrzuceniu koncepcji gen. Weyganda i gen. Rozwadowskiego.

W jakim stopniu „palec Boży wówczas ziemi dotknął“, nie próbujmy dociekać „mędrca szkiełkiem i okiem“, bo one metafizycznych tajemnic nie przenikną. Jeśli Opatrzność nam wówczas pomogła, to chyba dlatego, że nasz naród wówczas na to zasłużył swoją tak rzadką w naszych dziejach jednością, a ponadto determinacją, ofiarnością, odpornością na miazmaty komunistycznej propagandy oraz wybraniem na swego wodza człowieka o żelaznej woli, którzy ponadto umiał przewidywać, planować, ryzykować, zapalać wzniecać i wykonanie pozornie niewykonalnych zadań wymuszać. Ważną rolę odegrało oczywiście, także utworzenie rządu jedności narodowej oraz dokonanie zmian w obsadzie dowództw wyższych.

Niestety, nie udało się umieścić na okładce tego rocznicowego numeru naszego pisma wizerunków wszystkich najbardziej zasłużonych wyższych dowódców. Brak na niej przede wszystkim dowódców obu armii uderzeniowych, gen. Rydza-Śmigłego i gen. Skierskiego, oraz dowódcy frontu południowego, gen. Iwaszkiewicza. Oni też zasłużyli na trwałą i wdzięczną pamięć, jak zasłużyli nie pominięci dygnitarze i dowódcy oraz nasi ofiarni żołnierze. I ci znad Wieprza i Wkry i ci spod Radzimina, Ko-

-Z ŌSIŪ, czy dałaś brudy pracźce?
Nie, ale koń zjadł spodnie
starego generała!

Tę trochę surrealistyczną wymianę zdań, zaczerpniętą z niezapomnianego Olendorfa przypomniał mi satyryczny rysunek, zamieszczony na pierwszej stronie paryskiego „Le Figaro”. Przedstawiał on prezydenta Pompidou i premiera Heatha, którzy rozpluwając się w uśmiechach i ścisnąc sobie kordialnie dłonie, wymieniali na pożegnanie następujące kurtuazyjne słowa:

Pompidou: „Pióro mojej ciotki leży na biurku”.

Heath: „Mój krawiec jest bogaty”.

Dodajmy, że za premierem Wielkiej Brytanii (na tym rysunku) stoi premier Francji Chaban-Delmas, który podaje gościowi palto. Na podszewce tego wdzianka widzimy napis: „Made in USA”.

Wydaje się, że karykaturzysta, przedstawiając na omówionym rysunku znaczenia majowej wizyty Heatha w Paryżu, trochę w swym sceptycyzmie przesadził, co zresztą było jego świętym prawem. Tyle było już bezowocnych spotkań, rozmów, zebrań i konferencji na temat kandydatury brytyjskiej do Wspólnego Rynku Europejskiego, że sceptycyzm ten może być uważany za najzupełniej uzasadniony.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

marowa, Zagórza, Brzostowicy i Lidy. Wygrali przecież po raz pierwszy od czasów Żółkiewskiego wojnę z rosyjskim kolosem, czego nie dokonał ani Napoleon, ani Hitler.

Wspominamy te dramatyczne dni przede wszystkim dlatego, że dały olśniewające świadectwo niezniszczalnych wartości naszego narodu a jemu zapewniły 20 lat prawdziwej niepodległości, które go uodporniły na późniejsze klęski i ich następstwa.

Niech nikt nie mówi, że w erze bomb i pocisków termo-jądrowych wiara, hart i odporność są mało ważne i że w obecnych warunkach pragnienie odzyskania prawdziwej wolności jest nieziszczalnym i niebezpiecznym romantyzmem. „Romantyzm” ten cechował naszych ojców i praociców i tylko dzięki niemu nasz naród

FELIKS CHRZANÓWSKI

Anglia na drodze

Ale ostatnio coś się zmieniło. Rozmowy w Pałacu Elizejskim nie były czymś oderwanym od rzeczywistości. Przeciwnie, stanowiły jakby akompaniament dyplomatyczny na najwyższym szczeblu do rzeczowych przetargów, które toczą się od szeregu miesięcy w Brukseli. Właśnie na kilka dni przed nieskończenie długim dialogiem Pompidou-Heath uzgodniono w siedzibie władz EWG kilka zasadniczych punktów, które do niedawna zdawały się być przeszkodą nie do pokonania... I tak więc Anglia zgodziła się na całkowite zniesienie w ciągu pięciu lat taryf celnych na produkty z państw EWG i na ustanowienie zewnętrznej taryfy celnej dotyczącej towarów, sprowadzanych spoza obszaru Wspólnoty. Równocześnie obecni członkowie EWG wyrazili zgodę na to, by do końca roku 1974 Anglia mogła nadal swobodnie sprowadzać cukier z państw Commonwealthu, położonych na Oceanie Indyjskim, na Pacyfiku i na morzu Karaibskim. Ustalono też, że począwszy od roku 1975 kraje Commonwealthu, będące do dziś głównymi dostawcami W. Brytanii, otrzymają status państw stowarzyszonych z EWG, co da im duże

korzyści i pozwoli na zawieranie ze Wspólnotą europejską umów handlowych. Ponadto nowa wspólnota, złożona już nie z sześciu, ale z dziesięciu państw (dotychczasowa Szóstka plus: Anglia, Irlandia, Norwegia i Dania) zobowiąże się do ochrony interesów państw Commonwealthu, będących dotąd głównymi brytyjskimi dostawcami cukru. Kolejne porozumienie przewiduje, że W. Brytania przystąpi także do Euratomu czyli do Europejskiej Wspólnoty Atomowej. Uzgodniono wreszcie, że w okresie pięciu lat od r. 1973 do końca 1977 W. Brytania będzie stopniowo zwiększać swój udział w pokrywaniu wydatków Wspólnoty z tym jednak, że jeśli zajdzie tego potrzeba, otrzyma tzw. „taryfę ulgową”.

Do dalszych rokowań odłożono sprawę masła sprowadzanego przez Anglię z Nowej Zelandii. Nie uzgodniono też trudnej kwestii, jaką rolę będzie w przyszłości odgrywał funt brytyjski, który dziś pełni funkcję waluty rezerwowej na rynkach światowych, co zwłaszcza we Francji jest uważane za niezgodne z zadaniami i charakterem EWG.

Wbrew temu, co w usta Pompidou i Heatha włożył karykaturzysta „Le Figaro”, przemówienia obu mężów stanu, wygłoszone wobec prasy po zakończeniu rozmów, były rzeczowe i nacechowane ostrożnym optymizmem. Za szczególnie znamienne uznano następujące słowa prezydenta Francji: „Byłoby rzeczą nierozsądną sądzić, że nie dojdzie się do porozumienia między W. Brytanią i Wspólnotą w czasie dalszych rokowań; w każdym razie atmosfera w jakiej prowadziliśmy rozmowy pozwala spodziewać się, że rokowania powinny być uwieńczone powodzeniem”. Ze swej strony Heath, przyłączając się do słów prezydenta dodał: „Stanowiska obu stron bardzo się zbliżyły zwłaszcza na temat kwestii, czym powinna być na świecie Europa. Istnieje zgoda obu rządów co do celów i perspektyw rokowań brukselskich, toteż droga prowadząca do rozwiązań jest otwarta”.

się ostał i z licznych potopów uratował.

Nie znaczy to, byśmy mieli mierzyć siły na zamiary, a nie mieli mierzyć zamiarów podług sił. Przeciwnie, z gorzkich doświadczeń ostatnich lat powinniśmy wyciągnąć naukę, że cechą pokonanych powinna być cierpliwość, nie mająca oczywiście, nic wspólnego z rezygnacją. Dobre musi ostatecznie zatriumfować nad złem, a sprawiedliwość nad niesprawiedliwością, a duch nad materią.

Wykazali to przed przeszło pół wiekiem ci, którzy pod murami Warszawy osłonił Europę przed czerwonym zalewem. Przed ich ofiarą i zasługą chyłimy czoła w kornej zadumie, jako spadkobiercy ich testamentu, zobowiązani do przekazania go młodszemu pokoleniom.

gen. K. Głabisz

do Wspólnego Rynku

* * *

Zastanawiając się nad omawianymi dziś problemami gospodarczymi i walutowymi kandydatury brytyjskiej do Wspólnego Rynku, trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystko można było załatwić już kilka lat temu. Cóż więc się stało, że dopiero teraz rozmowy weszły na drogę realnych i wzajemnych ustępstw? Czy zmieniła się zasadniczo ekonomiczna sytuacja europejska lub światowa? — Chyba nie! Komentatorzy, zwłaszcza spoza odradzającej się *Entente Cordiale*, są zdania, że na pojawienie się ducha wzajemnych ustępstw i zrozumienia wpłynęły nie zagadnienia ekonomiczne, ale polityczne.

Od niedawna opinia światowa z wielkim zainteresowaniem śledzi nową politykę Niemieckiej Republiki Federalnej wobec wschodniej Europy, zwaną *Ostpolitik*. Oficjalnie wszyscy pochwalają argumenty Brandta i Scheela, że odprężenie między Wschodem i Zachodem jest bardzo pożądane i że przyczynia się do umocnienia pokoju europejskiego i światowego. Ale wiele okoliczności wskazuje na to, że ludzie co innego mówią, a co innego myślą.

Rzecz w tym, że flirty z Rosją carską jak i bolszewicką wyglądają trochę inaczej, gdy prowadzi je Francja, czy Ameryka, a inaczej — gdy robią to Niemcy. Trudno mieć chyba za złe Amerykanom, że rozmawiają dziś z Sowietarzami na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, gdyż w braku jakiegoś porozumienia w tej sprawie ludzkości grozić by mogło wyniszczenie eksplozjami bomb wodorowych. Można też zrozumieć francuskie tęsknoty do kolaboracji z Rosją, gdyż każdy Francuz wie o usługach jakie sojusznicza Rosja carska oddała Trzeciej Republice w pierwszych latach I wojny światowej, pomagając jej odeprzeć wściekłe natarcie wojsk cesarza Wilhelma i jego niezbyt mądrych generałów, którzy byli przekonani, że wojna potrwa zaledwie parę tygodni.

Zupełnie inaczej wygląda współpraca Niemiec z Rosją. Ma ona za sobą

fatalną przeszłość i jak najgorszą reputację. Aby nie sięgać zbyt daleko i nie przypominać świętego przymierza, które na długi czas utrwaliło w Europie system ucisku i wstecznicwa, wystarczy wymienić traktat w Rapallo z roku 1922, zapowiadający walkę z pokojem, ustanowionym w Wersalu oraz układ Ribbentrop-Mołotow z roku 1939-go, który rozpętał drugą wojnę światową ze wszystkimi jej okropnościami.

Toteż dziś świat zachodni obserwuje z największą podejrzliwością politykę wschodnią NRF i stawia sobie pytanie, jak daleko się ona posunie. Często słyszy się opinię, że póki kanclerz Brandt sprawuje władzę — rząd w Bonn pozostanie wierny Zachodowi i demokracji. Ale kto zareczy, że jego następcą nie pójdzie śladami Ribbentropa?

Przykrą niespodzianką była także dla Francji i Włoch powzięta niedawno przez Niemcy arbitralna decyzja zniesienia oficjalnego kursu marki i swobodnego rzucenia jej na fluktuację rynków pieniężnych co — rzecz jasna zakłóciło stosunki walutowe i handlowe wewnątrz Wspólnego Rynku. Pouczyło to państwa członkowskie EWG, że na rząd w Bonn nie można liczyć jako na partnera, troszczącego się w jednakowej mierze o interesy Wspólnoty jak i o własne. Protesty i perswazje na nic się nie zdały i gorzką pigułkę trzeba było przełknąć.

To był zapewne drugi powód, który skłonił Francję do rozejrzenia się za nowym sojusznikiem, zdolnym swą pozycją zrównoważyć i zneutralizować poczynania coraz silniejszych gospodarzo Niemiec. I stąd mowa o przywróceniu *Entente Cordiale* oraz o otwarciu dla Anglii drogi do EWG.

* * *

Bezpośrednio po paryskich rozmowach z premierem Heathem, Pompidou pojechał z oficjalną wizytą do Belgii. Wspaniałe przyjęcie, które mu tam zgotowano przypominało entuzjazm, z jakim Brazylijczycy witali

Ginę Lollobrigidę, gdy przyjechała na karnawał do Rio. Byłoby jednak błędem przypuszczać, że gospodarza Pałacu Elizejskiego witano tak serdecznie tylko dlatego, że jest pierwszym obywatelem Francji. Powód był inny. Radowano się głównie dlatego, że Pompidou zmienił politykę Paryża wobec Anglii i oświadczył, że nie będzie już *veta* przeciw jej kandydaturze. Wypada tu przypomnieć, że Belgowie mają *febla* do Anglików. Pamiętają bowiem, że w roku 1914 Anglia przystąpiła do wojny nie po to, by stanąć w obronie Francji, ale aby sprzeciwić się najazdowi niemieckiemu na neutralną Belgię. Ten entuzjazm całej Belgii okazywany prezydentowi Francji miał jednak w sobie coś z przysłowiowej komedii pomyłek. Politykę de Gaulle'a surowo krytykowano w Belgii nie tylko z uwagi na jego *veto* wobec Anglii. Oburzano się też na de Gaulle'a za to, że bronił zasady zwanej „Europą Ojczyzn” i że pogardzał instytucjami ponadnarodowymi Wspólnoty. Tymczasem Anglia, której wejście do EWG tak gorąco pragną Belgowie, wyznaje w sprawie suwerenności narodowej państw członkowskich EWG akurat takie same poglądy jak de Gaulle i jego następcą Pompidou. Jeśli więc Anglia — co jest prawdopodobne — wejdzie do Wspólnoty Europejskiej, to wbrew teozom Belgii i Holandii będzie bronił zasady szerokiej autonomii państw członkowskich. Pod tym względem zwolenników rozległych uprawnień władz ponadpaństwowych spotkać może zawód. Francja zaś znajdzie w nowym — silnym jak by nie było — partnerze — wyraźnego sojusznika.

Korzystając z pobytu w Belgii Pompidou udzielił dziennikowi brukselskiemu „Le Soir” wywiadu, w którym oświadczył, że po wejściu Anglii do EWG język francuski powinien pozostać głównym językiem roboczym Wspólnoty. W związku z tym wywiadem przypomniano, że gdy kilka lat temu delegat rządu brytyjskiego, ubrawszy się w żakiet, zjawił się w siedzibie władz EWG i w poprawnej francuzczyźnie ponownie zgłosił kandydaturę swego kraju do Wspólnoty, usłyszał od pewnego wyższego urzęd-

(Dokończenie na str. 4)

WYSADZENI NA ZAKRĘTACH

OD WCZESNYCH lat mego życia przewijali się przez nie ludzie, którzy dłużej lub krócej odgrywali aktywną rolę w PRL, a następnie znikali z widowni, wysadzeni z siodła swych karier na tych czy innych zakrętach dziejów i polityki partyjnej. Niektórych z tych ludzi pamiętam bardzo dobrze, sylwetki innych mającą poprzez mgłę mego dzieciństwa, jeszcze innych już tylko nazwiska, często powtarzane w moim domu, brzmiały mi w uszach jak dźwięki nie mające cielesnego odpowiednika aż do czasu, kiedy — jako osoba dorosła — w różnych okolicznościach stawałam przed ich nagle zmaterializowanym, niczym duchy wywołane z zaświatów, obliczem. Do ostatniej kategorii prominentów należeli m. in. Zenon Kliszko i Mieczysław Moczar. Zanim jednak opiszę swoje z nimi spotkania, poświęcę nieco miejsca osobom lepiej mi znanym. Jednych i drugich wiąże dziś to, że — nie wyłączając, jak należy sądzić z doniesień prasowych, Moczara — wszyscy już wypadli ze strzemiion swych galopujących rumaków. Nie były to, naturalnie konie bohaterów narodowych, ale jeśli nawet nie rumaki, to zawsze mniej lub bardziej reprezentacyjne, aczkolwiek niezbyt rasowe, klacze dygnitarzy na szczeblu centralnym lub wojewódzkim. Dziś nie pozostawiono im na pociechę nawet pegeerowskich chat.

Choć nie. Kto wie np., czy Józef Pokorski, permanentny zastępca przewodniczącego Miejskiej Komisji Kontroli Partyjnej w Łodzi, nie urzęduje nawet jak dawniej już po grudniu 1970 roku? Nazwałam go zastęp-

cą „permanentnym“, bo — rzecz zdumiewająca — pełnił tę funkcję od lat z górą dwudziestu. Pełnił ją jeszcze zanim mój ojciec został tej Komisji przewodniczącym, a więc przed r. 1950, pełnił po październiku i pełni być może po dziś dzień. Przetrzywał wszystkich kolejnych przewodniczących. Oczywiście, było to możliwe tylko dlatego, że nigdy nie miał własnego zdania i reprezentował czynnik o charakterze niezmiennym, którego dyrektywy w tej czy innej sprawie wykonywał gorliwie i bezbłędnie. Łatwo się domyśleć, jaki to był czynnik. Towarzysz Pokorski regulował stosunek do mego ojca w ścisłej zgodności z jego bieżącą sytuacją polityczną. Jako jego zastępca był wzorem podwładnego, uosobieniem ugrzecznienia i przymilności. Potem przestał się ojcu kłaniać, potem znów się kłaniał. Teraz na pewno go już nie poznaje.

Innego typu działaczem partyjnym był Józef Spychalski, usunięty po grudniu pierwszy sekretarz Komitetu Łódzkiego: równie ostrożny, ale trzymający się z większą godnością. Człowiek spokojny i zamknięty w sobie, o którym niewiele mogę powiedzieć, mimo, że pamiętam go dobrze z miesięcznego pobytu w Ustce, gdzie, podobnie jak my, przebywał z rodziną na wczasach w ośrodku Związku Zawodowego Włóknarzy. Spychalski stał w tamtym czasie na czele tego Związku, którego przewodniczącym był do 1950 roku mój ojciec. Gdy do kolei Spychalskiego przeniesiono do aparatu partyjnego, zastąpiła go na tym stanowisku Irena Sroczyńska, późniejszy sekretarz CRZZ. Uważana była za osobę uczciwą i

ideową, co oczywiście nie znaczy, abym z jej działalnością sympatyzowała. Ideowość mego ojca też nie ulegała przecież dla mnie i nie ulegała wątpliwości, a przeciwstawiłam się świadomie temu, co od czasów robotniczej młodości uważałam za cel swego życia i walki, naiwnie przyjmując powojenną rzeczywistość polską za realizację idei, której służył — i znalazłam się, jak to się mówi, po drugiej stronie barykady.

Skoro wspominałam o ideowości, to powinienam chyba zadać sobie pytanie, jacy w końcu byli, jacy są ci ludzie, których dziś przedstawiam. Zapewne, muszą być wśród nich i osobiście uczeni, wierzący w to, co robią. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że olbrzymia większość to cyniczni karierowicze, gotowi służyć każdemu i zmieniać poglądy choćby co dzień, byle tylko nie utracić łask aktualnych możnowładców i nie wypaść z toru. Dla kariery, dla władzy, dla przywilejów i materialnego dobrobytu zdobędą się na wszystko. Oto kilka przykładów.

Kazimierz Witaszewski, osławiony generał-gazurka. Ale dla mnie, dwunastoletniej chyba dziewczynki, jest to nieśmiały pan, czekający na podwórzu łódzkiej kamienicy, gdzie się bawię, i zagadujący do mnie przymilnie. Musiało to być wkrótce po październiku — ojciec mój coś nadal znał, Witaszewski już nie. Potrzebował mego ojca, więc pokornie czekał, był skromny i grzeczny. Lecz po kilku latach, gdy Gomułka przywrócił go do łask, a z kolei mój ojciec miał do niego, urzędującego w KC, jakiś, jak zwykle nie swój własny, interes, był znowu sobą, czyli gazurką. Mógł już sobie pozwolić na to, aby być nim nawet wobec mego ojca, w tym czasie już tylko starego rencisty, żywego eksponatu z dziejów polskiego ruchu robotniczego, bez żadnych aktualnych wpływów politycznych. Dziś i Witaszewski nie ma żadnych wpływów, a nadto nie ma wiele wspólnego z historią ruchu robotniczego.

DO WSPÓLNEGO RYNKU

nika tej instytucji odpowiedź w języku flamandzkim. Oczywiście nie rozumiał z tego ani słowa.

Francuzi nie bez racji przypominają ten humorystyczny incydent i mówią, że najlepiej trzymać się języka francuskiego, a angielski traktować

poważnie, jako drugi język roboczy.

Czy o nowej Dziesiątce — tak jak o przedwojennej Lidze Narodów w Genewie — będą ludzie mówić *que c'est une boîte franco-anglaise* — pozostaje kwestią otwartą.

Feliks Chrzanowski

Władysław Wicha, tępy biurokrata, bufon przekonany o swej wszechwładzy nawet wówczas, kiedy — mimo że był sekretarzem KC, któremu podlegały nominalnie sprawy безпеki — faktycznie wykonywał tylko polecenia Kliszki, stanowiąc na dodatek pionek w ręku Moczara. Odwiedziłam go w jego gabinecie w roku 1967, kiedy tak właśnie wyglądała jego sytuacja. Przyjął mnie, jako córkę swego starego towarzysza, bez trudności, należy to przyznać, ale w sprawie, która zmusiła mnie do tej mało przyjemnej wizyty (chodziło o zaprzestanie dyskryminacji mego obecnego męża, o czym wspomnę jeszcze przy relacji z rozmowy z Kliszką), nic nie zrobił. Wprost przeciwnie: palnął drętwą mówkę o praworządności ludowej, o tym, że donosiciele i autorzy anonimów są wzorami obywateli PRL, a nawet o idealnych stosunkach literacko-wydawniczych, które, jak stwierdził, zna doskonale dlatego, że jego żona jest od wielu lat naczelnym redaktorem w „Cytelniku“. Być może, jest nim i nadal. Natomiast Wicha niewątpliwie jest w tej chwili niczym.

Leon Stasiak, nasz sąsiad z domu Komitetu Łódzkiego, w którym mieszkaliśmy, kiedy chodziłam jeszcze do szkoły podstawowej. Człowiek bardzo zręczny i giętki, skoro pracował w Komitecie przed październikiem, a po październiku zaczął piąć się w górę. Przetrzywał szczęśliwie wszystkie zygaki Gomułkowej polityki i na pewno byłby kierownikiem Wydziału Propagandy KC co najmniej do grudnia ub. roku, gdyby nie źle widziane pochodzenie, na którym się wykoleił. Z nim również rozmawiałam w Warszawie, kiedy nas z mężem ścigano i szcztu, ale wymówił się swoją niekompetencją. Może zresztą i w samej rzeczy walczył już wówczas o własną skórę i niewiele znaczył w hierarchii partyjnej. W każdym razie córka współwzięcia z Berezy Kartuskiej obchodziła go tyle co śnieg zeszłoroczny. Dziś jest w Izraelu.

Ignacy Loga-Sowiński, człowiek raczej dobroduszny, ale ograniczony, a przy tym niewątpliwie karierowicz — tak że jego działalność na stanowisku przewodniczącego CRZZ była obiektywnie szkodliwa. Dla mnie był bar-

dzo miły, ale to oczywiście niczego nie dowodzi: znał mnie od dziecka. W 1967 roku pomógł mi, kiedy zmuszona byłam opuścić Łódź, w zameldowaniu się w Warszawie, bo i do tego potrzebna jest w dzisiejszej Polsce wysoka protekcja. W czasie rozmowy, w jego gabinecie w gmachu CRZZ, żartował, nazywał mnie „córeczką“ itp. — przypuszczam jednak, że gdyby wiedział, że przerwałam studia w wyniku przeprowadzonej u mnie rewizji, znalezienia „nieprawomyślnych“ rękopisów i wycinków z gazet emigracyjnych i wielogodzinnego przesłuchiwania w MSW, zachowałby się inaczej. Na pewno, bo dbał, powtarzam, o swą karierę i przesiał się z dygnitarskiej klaczy na podstawioną mu usłudze przez Gierka chabę, jak mógł najpóźniej. Chyba że i chabety, jak już sugerowałam wyżej, zabrakło.

Zagadnieniem nieco zagadkowym jest dla mnie Michalina Tatarkówna-Majkowska. Jest, a raczej była, bo gwiazda jej zgasła jeszcze przy Gomułce i mimo przyjaźni z potężną do niedawna Zosią. Przedziwna kobieta! Liberalny działacz — i sprytny gracz polityczny. Dumna ze swej tolerancyjności, opiekunka pisarzy i artystów — i zrozumiiała snobka, apodyktyczna ignorantka. Szczerze, jakby się wydawało, troszczący się o interesy robotników wysoki funkcjonariusz partyjny, a zarazem nieznośny samolubny, śmieszny w swej próżności kacyk, wymagający absolutnego i bezkrytycznego posłuchu. Nie darmo Komitet Łódzki nazywano za czasów, kiedy Tatarkówna była jego sekretarzem, „kaplicą świętej Michaliny“¹⁾.

Kiedy ją poznałam — było to jakieś piętnaście, szesnaście lat temu — była kobietą lat czterdziestu kilku. Pierwszym sekretarzem Komitetu Łódzkiego została jeszcze przed październikiem, na fali odwilży, na szeroście zaś wody wypłynęła po przyjściu Gomułki do władzy. Liberalizm liberalizmem, jednak głównym źród-

1) Felieton pod tym tytułem poświęcałam Tatarkównie w napisanej wspólnie z Eugeniuszem Żyromirskim książce pt. „Polska, którą opuściliśmy“ (Londyn, 1970).

łem jej wzrastającej potęgi była przyjaźń z Gomułką. Bynajmniej się z tą zażyłością nie kryła. Wprost przeciwnie: Zosia to, Zosia tamto. Ta Zosia nie schodziła jej z ust. Jeździły razem do Pragi, jeździły gdzieś na Zachód. Po powrocie Tatarkówna wpadała do łódzkiego lokalu Ligi Kobiet rozgorączkowana i rozszczębiotana. W Pradze nie dały sobie z Zosią w kaszę dmuchać i rozstawiły hotelową służbę po kątach. W jakiejś zachodniej stolicy poczyniły wspaniałe zakupy i zachowywały się jak pierwsze damy Polski Ludowej. Aż dziw, że ta sama plotąca takie babskie androny kobietka potrafiła sprzeciwić się budowie w Łodzi robotniczych mieszkań bez łazienek, które zdążono zbudować np. na Wybrzeżu. Gorzej, że tak samo jak na temat swych podróży z Zosią wypowiadała się przy każdej możliwej okazji na tematy literackie i artystyczne. Musiano jej, oczywiście, wysłuchiwać i przyklaskiwać, zbierając jednocześnie materiały do przyszłych kawałów o jej ignorancji. Na szczęście oklaski wystarczały i aby uzyskać hojną subwencję, niczego innego nie trzeba było robić. Inaczej w kaplicy świętej Michaliny. Tam obowiązywała żelazna dyscyplina i każde słowo pierwszego sekretarza miało wagę rozkazu.

Łódzka święta umiała chwytąć wiatr w żagle. Zaraz po październiku trzymała przez pół godziny jakąś oficjalną delegację radziecką w poczekalni swego gabinetu, popijając sobie w samotności i absolutnym spokoju kawę. Oczywiście, potrafiła to wydarzenie rozgłosić. Nieco później, po powrocie z jakiejś służbowej podróży po ZSRR, opowiadała na prawo i na lewo, że ilekroć wsiadała do radzieckiego samolotu, bała się, że ją gdzieś wywiozą. Ale gdy czasy się zmieniły, po kosmicznym locie Tiereszkowej na dożkaz Tatarkówny kilka fabryk łódzkich przerwało normalną produkcję i zajętych było przygotowywaniem daru dla radzieckiej astronautki w postaci niezliczonej ilości bielizny, obuwia i najrozmaitszej garderoby od strojów sportowych począwszy, na toaletach wieczorowych kończąc.

Nikt tak długo jak Tatarkówna nie zajmował stanowiska pierwszego sekretarza Komitetu Łódzkiego. Świado-

ma swej siły, pozwalała sobie niekiedy na fochy. Gdy któreś z odgórnych poleceń jej się nie podobało, podawała się do dymisji. Robiła to kilkakrotnie i zawsze wygrywała. Aż za którymś tam razem dymisja została nieoczekiwanie dla niej przyjęta. Zosia nie pomogła. Liberalizm wyszedł z mody, a stanowiska pierwszych sekretarzy obsadzał częściej Moczarski niż Gomulka.

Święta Michalina przestała być pierwszym sekretarzem, ale pozostała radną miejską. Jako studentka socjologii, w ramach tzw. hospitacji, przyszedłam na jedno z posiedzeń łódzkiej Rady Narodowej. Miałam z galerii doskonały widok na salę. I wtedy właśnie zobaczyłam Tatarkównę po raz ostatni. Przy końcu jednego z podłużnych stołów siedziała posiwiata, stara kobieta o zgorzkniałej twarzy. Siedziała w całkowitym odosobnieniu, a wszyscy uczestnicy sesji udawali, że jej nie widzą. Gdzie ja widziałam byłego wszechwładnego pierwszego sekretarza Komitetu, oni nie widzieli nic. Aż sama w końcu się zaniepokoiłam, czy nie ulegam halucynacji i czy nie widzę świętej Michaliny tam, gdzie stoi po prostu puste krzesło.

W parę lat później, w listopadzie 1967 roku, wkrótce po wizycie u Wichy i niemal bezpośrednio po bytności u Logi-Sowińskiego, spotkało mnie niebывале wyróżnienie: audiencja u Zenona Kliszki. Po długiej wędrówce korytarzami „białego domu“ i kilkakrotnym sprawdzaniu przez ludzi z ochrony dygnitarzy partyjnych mojej przepustki i dowodu osobistego dobrnęłam do gabinetu najpotężniejszego wówczas po Gomulce człowieka w Polsce. Urzędował za parą potężnych drzwi w wielkim, zastawionym ciężkimi meblami pokoju. Wydał mi się znacznie starszy niż na zdjęciach. Zaskoczył mnie całkowicie, bo nim zdążyłam otworzyć usta, powiedział:

— Byliście u Logi, prawda?

— Byłam — potwierdziłam zbita z tropu. Myślałam, że będzie mnie wypytywał o cel i przebieg tej wizyty, ale rzekł:

— Więc proszę, co panią (przeszedł z „wy“ na „pani“) do mnie sprowadza?

Wyłożyłam mu swoją sprawę. Na

początku października mąż mój otrzymał wiadomość o umorzeniu postępowania w jego sprawie z art. 23 mkk. Przez z górą rok obowiązywał zakaz ogłaszania i wystawiania utworów męża, nawet nazwiska jego nie wolno było wymieniać w druku czy przez radio. Należało teraz oczekiwać, że znowu będzie mógł pracować w swoim zawodzie, nic się tymczasem nie zmieniło. W tej sytuacji zdecydowałam się prosić o pomoc najwyższe czynniki.

Kliszko słuchał nie przerywając i notując coś na dużym arkuszu papieru. Zauważyłam, że pismo ma niewyraźne, a ręka tak mu drży, że z trudem utrzymuje w niej pióro. Słuchał mnie w milczeniu i raz tylko, kiedy wymieniłam nazwisko męża (sama używałam wtedy nazwiska panińskiego), oderwał oczy od papieru i obrzucił mnie krótkim uważnym spojrzeniem. Kiedy skończyłam, a on wreszcie przemówił, zachowywał się tak zagadkowo, że nie mogłam się nawet zorientować, czy znał sprawę męża, zanim mu ją opowiedziałam i czy wiedział, czyją jestem żoną, kiedy zdecydował się mnie przyjąć... Znał, znał i wiedział. Donieśli mu, że byłam u Logi, musiał być poinformowany i o wszystkim innym. Oczywiście, miał mężowi za złe jego wiersz „Odebrano mi Polskę“. Trudno było temu ostatecznie się dziwić. Ale postanowiłam przycisnąć go do muru.

— Napisał wiersz, o którym mówiliście, i wydrukował go zagranicą —

powiedziałam — ale napisał również powieść, którą jedno z naszych wydawnictw przyjęło i skierowało do druku, a potem ją wycofało i nadal jej nie wydaje, mimo że śledztwo w tamtej sprawie zostało umorzone. Czy wydaje wam się to słuszne?

— Nie można kogoś karać bez końca — powiedział sekretarz KC z tak szczególną intonacją, że w żaden sposób nie można było stwierdzić, czy mi przytakuje, czy też użył trybu pytającego. Kiedy usiłowałam rozwiązać tę z kolei zagadkę, nagle się uśmiechnął i rzekł:

— A teraz chciałbym porozmawiać z panią chwilę o sprawach prywatnych.

Myślałam, że zapyta mnie może o ojca, ale interesowało go co innego: dlaczego zakochałam się w człowieku znacznie od siebie starszym. Nie tylko przy tym powoływał się na to, że jest ojcem mojej rówieśniczki, ale i twierdził, że obchodzi go ta sprawa, gdyż jest także mężczyzną. Kiedy likwidując tę prywatną dygresję próbowałam powrócić do konkretów, wstał na znak, że audiencja jest skończona.

— Jaka jest wasza decyzja w sprawie, którą przedstawiłam? — zapytałam.

— Nie mogę wam teraz nic powiedzieć. Muszę to dokładniej zbadać.

— Ale jak się dowiem o waszej decyzji, kiedy już zapadnie?

— Dowiedzie się o niej. Na pewno.

HENRYK GRUBER

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Trzy części:

- I. BUG WPADA DO WISŁY — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt we Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.
- II. ANATOMIA POCZĄTKÓW — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.
- III. CZART PROWADZI BAL — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!

Ilustracje!

Cena: £3.00 plus koszt przesyłki

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

Taki był, w skrócie²⁾, przebieg przeszło półgodzinnej rozmowy z kimś, od czyjego jednego telefonu zależały losy milionów obywateli PRL, w tym i losy moje i mojego męża. Kliszko dowiedział się ode mnie czego chciał, a ja od niego niczego. Ale po co mnie przyjął? Z samej tylko ciekawości?

Nigdy nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie. Zresztą to niebawem przestało być ważne. Po lutym i marcu 1968 roku nie tylko przywrócono w stosunku do męża wszystkie sankcje, ale i my sami nigdy byśmy się nie ubiegali o widzenie się z Kliszką. Nie żałuję jednak, że u niego byłam. Przekonałam się, że rządzący Polską ludzie odgradzeni są od jej obywateli nie tylko labiryntem korytarzy i maszynami drzwi, ale i czymś w rodzaju mgły, w której raporty tajniaków zastępują wiedzę o otaczającym świecie, fikcja — konkret, a enigmatyczność — odwagę i otwartość działania. Przyznam się jednak, że nie przypuszczałam wtedy, że człowiek, z którym rozmawiałam, zatraci w swej alienacji i w swym doktrynerstwie granicę między rzeczywistością a szaleństwem, a w tym szaleństwie posunie się z kolei do zbrodni, tj. do wydania rozkazu strzelania do robotników. Na tym zakręcie śmierci historia wysadziła somnambulicznego jeźdźca z siodła.

Chcę zakończyć ten przegląd wysadzonych obrazkiem raczej idyllicznym: garden party w ambasadzie bułgarskiej w Alejach Ujazdowskich. Na to przyjęcie z okazji święta narodowego Bułgarii, we wrześniu 1968 roku, zaproszono nas przez oczywistą pomyłkę — mąż tłumaczył swego czasu poezję bułgarską, a o jego aktualnej sytuacji politycznej nic najwidoczniej w ambasadzie nie wiadomo. Poszliśmy trochę dla kawału, a trochę na złość. Wrażenie było istotnie piorunujące. Gdyby zza kamiennego ogrodzenia dzielącego ogród ambasady bułgarskiej od posesji ambasady USA ktoś, uśpiwszy czujność rozstawionych wokoło tajniaków, rzucił nagle bombę, wywołałoby to mniejszą sensację niż nasze wkroczenie między zgromadzonych malowniczo na traw-

nikach i gawędzących z kieliszkami w rękach dygnitarzy. Co prawda, wicepremier Zenon Nowak, którego stara znajomość z ojcem była mi doskonale znana, zachował się raczej obojętnie: z pewnością nie orientował się, kim jesteśmy. Moczar jednak nie spuszczał ze mnie i z męża przez dłuższy czas oka. Nie wiem, czy mnie — zmuszany za łódzkich czasów przez mego ojca do składania samokrytyk — poznał, wydaje mi się to mało prawdopodobne, musiał jednak znać, jeśli nie z widzenia, to z fotografii w swoich kartotekach, mojego męża. Kręcił się w jego pobliżu sekretarz Zarządu Głównego ZLP Jan Maria Gisges, przerażony naszym przybyciem, nie próżnował, niemniej przestraszony zastępcą kierownika Wydziału Kultury KC Syczewski, a Lesław Bartelski, który zgiął się dosłownie w pół, kiedy jego zbawidowaty szef i chlebobawca podszedł do niego i podał mu rękę, również mógł udzielić o nas stosownych informacji, jeśli główny ubek ich potrzebował. Bo kto wie, czy nie znał jednak z akt MSW również i mnie i czy nie wiedział, czyją jestem córką. Ale tak czy inaczej udał po chwili, że go nic nie obchodzi, i skacząc dziarsko przez grządkę z różami, podążył w kierunku jakiejś starszej, przyzywającej go gestami i nader widać zasłużonej, gdyż obwieszanej orderami damy, którą po chwili zaczął zapewniać, że „tak źle nie będzie“.

A jednak jest źle. Wprawdzie po kilku latach, ale gorzej niż Moczar mógł sobie wyobrażać. Bo źle dla niego samego.

Garden party z bohaterskim wozem ludowych partyzantów, który wyglądał jak zwyczajny, przebrany w świąteczny garnitur, bandzior, było ostatnim moim zetknięciem się z ludźmi ze świata mego ojca i z mego dzieciństwa. Świat mego ojca i moje dzieciństwo to prawie to samo — z tym, że jego świat odpłynął w dal jeszcze głębszą niż ta, w której mającą pierwszą część mojego życia. Ludzie zaś, o których opowiedziałam, nie są właściwymi ludźmi, ale widmami. Nie straszą mnie jednak po nocach. A w dzień na szczęście także już nie.

²⁾ Szerszą relację zamieściłam w „Wiadomościach“ nr 1218 (nr 31 z 1969 r.), a następnie w cytowanej już książce.

Maja Kubiak-Żytomirska

GRYF PUBLICATIONS
LTD

MINA TOMKIEWICZ
BOMBY I MYSZY

powieść mieszczańska

Cena £1.75

GEORGE ALLEN
AND UNWIN

MINA TOMKIEWICZ
OF BOMBS AND MICE

A story of Warsaw ghetto

Price: £2.50, \$2.50.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

STUDIUM POLSKI
PODZIEMNEJ

**ARMIA KRAJOWA
W DOKUMENTACH
1939 — 1945**

TOM I.

Wrzesień 1939 — czerwiec 1941

Str. 584

Cena: £5.25

S k ł a d G ł ó w n y :

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. 01-228 0879

PROCES „normalizacji“ czyli przywracania kontroli prosowieckiego reżymu komunistycznego w Czechosłowacji rozpoczęty w momencie wejścia wojsk Paktu Warszawskiego do Pragi w sierpniu 1968 roku, ukończony został w maju br. na ostatnim kongresie partyjnym.

Była to przewlekła, skomplikowana i ponura operacja, polegająca na stopniowym dławieniu zrywu narodu do samodzielności i likwidowaniu zwolenników „Wiosny Praskiej“. Jak krańcowo zmieniły się stosunki w Czechosłowacji najlepiej świadczyć mogą dwie biegunowo różne opinie kompartii na ten sam temat. Pierwsza — to uchwała 14 kongresu, obradującego w jednej z fabryk praskich tuż po wejściu wojsk okupacyjnych. Kongres potępił inwazję i określił ją jako... „akt sprzeczny z podstawowymi zasadami wzajemnych stosunków między państwami socjalistycznymi i normami prawa międzynarodowego“.

Druga opinia wyszła z ust Gustawa Husaka, generalnego sekretarza czechosłowackiej partii komunistycznej i sowieckiego pretorianina w Pradze. Przemawiając na zakończenie tegorocznego zjazdu partyjnego, dziękował Rosji Sowieckiej za pomoc w zgnieceniu „prawicowych oportunistów, rewizjonistów i sił antysocjalistycznych“. Zwracając się z głębokim ukłonem w kierunku Breżniewa powiedział: „Partia, rząd i ludy sowieckie, a szczególnie wy, towarzyszu, zrozumieście obawy komunistów i robotników czechosłowackich, którzy zwrócili się do was o pomoc. Interwencja wasza uratowała nasz kraj od wojny domowej i kontrrewolucji. Ten akt międzynarodowej solidarności uratował życie tysiącom ludzi“.

Wypowiedź Husaka nie potrzebuje komentarzy. Świadczy ona o niesamowitej obłudzie i cynizmie generalnego sekretarza i daje nam pełny obraz przeobrażeń, jakie zaszły w Czechosłowacji w przeciągu ostatnich dwu lat.

PUNKT ZWROTNY

W osiem miesięcy po najeździe sowieckim doszło w całych Czechach do poważnych rozruchów po meczu hokejowym, w którym gospodarze od-

WACŁAW NETTER

I ZNOWU „PORZĄDEK

nieśli zwycięstwo nad drużyną moskiewską.

Biura Aeroflotu w Pradze i inne budynki zajmowane przez sowieckie misje i urzędy zostały zdemolowane. Nie wiadomo, czy w ten sposób Czesi pragnęli okazać radość z porażki zniechęconego przeciwnika, czy też padli ofiarą prowokacji. Zajścia posłużyły bowiem za pretekst do zasadniczych zmian na szczytach partii i rządu Czechosłowacji. Dubcek znalazł się pod tak wielką presją, iż musiał ustąpić. Funkcję pierwszego sekretarza objął Gustaw Husak. Od tej chwili rozpoczęła się stopniowa czystka i fala powrotu do dawnego systemu. Wielu zwolenników reform nie weszło do nowego przydzium. Utracił swe miejsca: Smrkowski, Bohumil Simon, Józef Slavik i J. Spacek. Z komitetu centralnego usunięto następujących członków: O. Sika, Kriegela i Kosika.

W styczniu 1970 roku wyrzucony został Cernik, a miejsce jego w przydzium zajął prosowiecki Strugał. Podobny los spotkał i Dubceka. Wysłano go na stanowisko ambasadora w Turcji. Niedługo tam zabawił. Odwołano go do kraju, pozbawiono członkostwa partii i przydzielono do pracy w lesie. Nie będę opisywał wszystkich kolejnych posunięć nowego reżymu, gdyż zajęłoby to za dużo miejsca. Ograniczę się do najważniejszych.

Zgromadzenie Federalne pozbawiło 62 swych członków mandatu na podstawie ustawy, która pozwalała na usuwanie posłów podejrzanych o poglądy sprzeczne z „załoženiami Frontu Narodowego“. Przepis ten był tak mglisto sformułowany, iż dawał nieograniczone możliwości interpretacji.

Na początku roku 1970 rozpoczęła się też czystka w szeregach partyjnych. Zarządzono wymianę legitymacji i przesłuchiwanie wszystkich członków. Usunięto około 25% „niepewnych elementów“. Cyfra byłaby, oczywiście, wyższa, gdyby nie obawa przed kompromitacją, że partia zostanie bez członków. Postanowiono za-
trzymać tych wszystkich, którzy przy-

znali się do błędów, obiecali poprawę lub też zdeklarowali poparcie dla nowych władz.

POWRÓT DO CENTRALIZACJI

Skutki zmian politycznych dały się niebawem odczuć i na polu ekonomicznym. Nowy Model Ekonomiczny (NEM) zmarł śmiercią naturalną.

Plan, opracowany jeszcze w 1967 roku przez grupę postępowych ekonomistów, miał na celu ożywienie i usprawnienie gospodarki kraju, wydobycie jej z marazmu w jakim się znalazła za rządów Nowotnego. NEM polegać miał w większym stopniu na stosowaniu bodźców ekonomicznych niż racji politycznych i doktrynalnych: większa niezależność od centrali, planowanie produkcji według zasad wolnorynkowych popytu, podaży i cen, ulepszenie jakości wyrobów czechosłowackich, by mogły one konkurować na rynkach zachodnich. Rola państwa miała ograniczyć się do przygotowywania długoplanowych projektów, koordynacji polityki gospodarczej i ułatwiania kontaktów przedsiębiorstw z nabywcami zagranicą.

NEM zaczął wchodzić w życie, gdy wojska sowieckie najechały Czechosłowację. Okres reorganizacji dopiero się rozpoczął, a produkcja siłą rzeczy nie osiągnęła przewidywanego poziomu. Dla okupantów był to doskonały argument walki z nowym modelem. Interwencja sowiecka pogrążyła cały kraj w apatii. Fabryki i zakłady przemysłowe opustoszały. Absenteizm osiągnął tak wielkie rozmiary, że władze były zmuszone użyć wojska do niektórych koniecznych prac, między innymi do wyładowywania pomocy, przysyłanej przez Rosję. W marcu 1970 roku rząd Czechosłowacji zadekretował przymusową pracę w każdym przedsiębiorstwie przez trzy kolejne soboty i niedziele i to bez wynagrodzenia, by nadrobić poniesione straty w produkcji.

Nowy Plan Ekonomiczny został przez reżim Husaka porzucony. Za-

PANUJE W PRADZE

miast wzmózonego handlu z Zachodem podpisano sowiecko-czechosłowacką deklarację, uznając konieczność ściślejszej integracji obu krajów. Przywrócono system centralnego planowania i kontroli. Ceny hurtowe uległy zamrożeniu, a każdemu przedsiębiorstwu narzucono plan produkcji i obowiązek jego wykonania. W ten sposób gospodarka kraju powróciła do stanu w jakim znajdowała się przed przyjściem Dubceka do głosu. Zarówno NEM jak i jego architekci zostali potępieni za wprowadzenie burżuazyjnych metod do socjalistycznego państwa. Rady robotnicze powołane do życia w okresie „wiosny“ zostały zakazane jako „ośrodki ekonomicznej anarchii, podważające autorytet władz państwowych i dyrekcji przedsiębiorstw“.

ATAK NA ŚRODKI PRZEKAZU

Obraz „normalizacji“ byłby niepełny gdybyśmy pominęli milczeniem głębokie zmiany przeprowadzone w organizacjach środków masowego przekazu. Prasa, radio, telewizja odgrywają obecnie ogromną rolę w całym świecie. W krajach komunistycznych są potężnym instrumentem propagandy marksistowskiej i urabiania opinii publicznej w kierunku jaki rząd uzna za wskazane w danym momencie.

Reżim Husaka przypuścił atak na pisarzy i dziennikarzy natychmiast po usadowieniu się w siodle. Obydwa związki dzielnie opierały się naciśkom, lecz w końcu musiały ulec. Zarząd Związku Dziennikarzy podał się do dymisji, odmawiając podporządkowania się dyrektywom władz państwowych. Rząd zastosował represję zawieszając wydawanie następujących periodyków: Listy, Reporter, Twar, Literaturny Żywot, Doba, Polityka, Płomień, Studenckie listy i inne. Innym pismom i wydawnictwom ograniczono przydział papieru. Cenzura została przywrócona, a Ministerstwo Kultury objęło kontrolę nad Funduszem Literackim. W praktyce

oznaczało to, że od decyzji kacyka partyjnego zależeć będzie kto i w jakim nakładzie może być drukowany.

CIEMNOŚCI W OŚWIACIE

Decret rządowy upoważnił władze oświatowe do zwalniania nauczycieli i profesorów, którzy mieli liberalne zapatrywania i głosili „zasady sprzeczne z pojęciami socjalizmu“. Minister Oświaty Jaromir Hrbek zlikwidował wiele katedr i spensjonował ponad tysiąc profesorów i asystentów. Rozwiązał też komórki partyjne na wyższych uczelniach podporządkowując pracowników naukowych lokalnym organizacjom partyjnym.

O ile chodzi o odcinek studencki, to rząd dokonał tam radykalnych zmian. Młodzież to szczególnie niebezpieczny element, gdyż jest najbardziej podatna na nowe prądy. To właśnie studenci byli pośrednią przyczyną upadku Nowotnego, gdy w 1967 roku rozpoczęli demonstracje przeciw ciasnocie i złym warunkom w domach akademickich. Ich wystąpienie pociągnęło za sobą szereg akcji i re-akcji zakończonych zmianą reżimu. Młodzież poparła bez zastrzeżeń ruch reformatorski Dubceka i dzielnie demonstrowała przeciw okupantom, wychodząc na ulice Pragi i innych miast Czechosłowacji. Przykład żywej pochodni Jana Palacha, który połał się benzyną i spłonął protestując w ten sposób przeciw najazdowi, zelektryzował całą modzież. Podobnie jak literaci i dziennikarze, studenci nie chcieli podporządkować się nowym władzom. Zarząd stowarzyszenia podał się do dymisji. Rząd powołał nową organizację: Unię Studentów; lecz tylko niewielki odsetek uczącej się młodzieży wstąpił do jej szeregów. Komisje dyscyplinarne zorganizowane na wyższych uczelniach przejęły nadzór nad działalnością studentów. Znajomość teorii komunizmu stała się nieodzownym warunkiem przyjęcia na studia, a marksizm-leninizm — obowiązkowym przedmiotem.

Akt federacyjny Czech i Słowacji stał się właściwie martwą literą. Zwyciężyło hasło Lenina „demokratycznego centralizmu“. Według niego, najlepszym rozwiązaniem w systemie komunistycznym jest demokratyczny parawan dla silnego ośrodka dyspozycyjnego. Zgadając się na federację tych dwu krajów Rosji chodziło o rozbicie wspólnego frontu, łatwiejsze podporządkowanie sobie obu członków federacji, a gdy zajdzie potrzeba na wygrywaniu jednego przeciw drugiemu w myśl starej rzymskiej maksymy: dziel i panuj. Jak na razie federacja nie zmieniła ani wzajemnych stosunków między Czechami i Słowakami ani też nie dała żadnemu z nich większej samodzielności. Nie będzie przesadą powiedzieć, że oba narody połączyła nie federacja lecz wspólna nienawiść i pogarda do Rosji Sowieckiej.

Sowiecki „porządek“ panuje we wszystkich dziedzinach życia czechosłowackiego. Niezadowolone i apatia ogarnęły najszerze kręgi społeczeństwa, które jest bezsilne na porozumienie okupantów. Wybitniejszych działaczy bądź usunięto, bądź też odeszli sami. Ci co pozostali na stanowiskach i współpracują oficjalnie z reżimem, czynią to dla chleba. Należą oni do tzw. wewnętrznych emigrantów. Rząd nie ma żadnego oparcia w narodzie, a swoje istnienie zawdzięcza Breżniewowi i jego doktrynie.

Nad całym krajem zaległa noc niewoli. Gorycz i uczucie niemocy wypełniły serca Czechów i Słowaków, ale duch nie został złamany. Zagrzebane w popiele zwątpienia iskry dumy narodowej wybuchną, gdy zmienią się warunki i nadejdzie sprzyjająca okazja.

Zbrodnia Katyńska

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową

WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: £1.75

The Crime of Katyn

FACTS and DOCUMENTS

Cena: £1.87

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Bazy sowieckie i Kanał Sueski

W ZACHODNIO-niemieckim miesięczniku „Deutsches Monatsblatt“ ukazał się artykuł Piotra Hornunga pt. „Moskau hofft auf den Suezkanal“. Autor rozpatrzył w nim możliwość otwarcia tego kanału i środki, które już teraz przedsięwzięją Sowiety, aby wykorzystać maksymalnie tę drogę wodną do swoich celów.

Według orzeczeń rosyjskich rzeczoznawców kanał można udostępnić dla żeglugi w ciągu pięciu tygodni, a koszt wyniesie 22 miliony dolarów. Specjaliści izraelscy są mniej optymistyczni. Ich zdaniem prace nad udostępnieniem Kanału muszą potrwać dwa lata, a koszt robót wyniesie 250 milionów dolarów.

Sztabowcy w Jerozolimie i w Kairze nazywają Kanał Sueski „najszerszym okopem świata“. A najbardziej zainteresowane są w sforsowaniu tego okopu właśnie Sowiety.

Omawiając wielki wyczyn sowiecki — budowę tamy w Assuanie — jest Hornung bardzo sceptyczny. Tama ta, wbrew zapowiedziom, nie nawadnia olbrzymich przestrzeni w Górnym Egipcie; tylko jedna trzecia elektryczności wytwarzanej przez turbiny może służyć przemysłowi i — co gorsze jeszcze — stan ten będzie trwał przez dziesięć najbliższych lat; fellachom znad Dolnego Nilu przyniosła tama tylko szkodę, ponieważ zatrzymuje użyźniający szlam; prócz tego szlam ten, osadzając się przy ujściu Nilu, tworzył wał ochronny od strony morza. Obecnie wał ten jest podmywany i zabierany przez falę.

Dla naprawienia szkód uczynionych przez zbudowanie tamy należałoby wybudować między Assuanem a Morzem Śródziemnym jeszcze jedną tamę. A koszt tej budowy wyniósłby równowartość miliarda marek. Nasser, wchodząc w porozumienie z Sowietami w sprawie budowy tamy, zrobił krajowi swemu trudną do naprawienia szkodę. Miał on zawsze skłonność do rządów despotycznych, a pod koniec życia znosił wokół siebie tylko „potakiwaczy“. Społeczeństwo, które ochłonęło już trochę z egzaltacji dla zmarłego wodza, doma-

ga się teraz liberalizacji, modernizacji ustroju społecznego i reform w armii.

Anwar El Sadat i jego rząd liczą na to, że otwarcie Kanału zmniejszy bezpośrednio niebezpieczeństwo wojny, nie zdają oni sobie jednak sprawy z tego, że stanie się ono wyjściem do równie niebezpiecznej strategicznej ekspansji Sowietów w kierunku Oceanu Indyjskiego i Afryki. Zarysowująca się możliwość konfederacji trzech państw: Egiptu, Libii i Sudanu — otwiera Rosji widoki na ekspansję w kierunku południa. Do tego jednak potrzebny jej jest Kanał Sueski i dlatego bagatelizuje trudności związane z jego otwarciem.

Rząd Numeiry w Sudanie oddał Sowietom do dyspozycji bazę w Port Sudan nad Morzem Czerwonym. Stało się to przez wdzięczność za dostawę broni przeciw 4 milionom Murzynów w podzwrotnikowych prowincjach Sudanu, prowadzącym już od roku 1955 wyniszczającą wojnę partyzancką z wojskami sudańskimi. Brytyjska polityka kolonialna połączyła niegdyś arabską północ z murzyńskim południem. Po ogłoszeniu niepodległości Sudanu wszystkie odpowiedzialne stanowiska zajęte zostały przez Arabów. Decyzje zapadały wyłącznie w Chartumie. Plemiona Dinka, Nuer, Shilluk i Zande stały się mieszkańcami pozbawionymi praw. Plemiona te podniosły bunt przeciw arabskim ciemnościom i rozpoczęły wojnę partyzancką. Owocem tej secesji jest państwo Anzania. Armia sudańska zdołała utrzymać tylko kilka punktów umocnionych na południu.

Zmiana w sytuacji nastąpiła wówczas, kiedy Numeira zgodził się przystąpić do Związku Trzech. Otrzymał on wówczas samoloty bojowe wraz z załogami. Egipskie MIG-21 atakowały napalmem bazy partyzantów. Tak więc zdołano wykryć i wypalić bazy w Edo, Lorango, Bamba i Morto. Rolf Steiner, niemieckiego pochodzenia sierżant Legii Cudzoziemskiej, który awansował na generała dywizji w armii Anzanii, zmuszony został do ucieczki do Ugandy.

Stamtąd wydano go Sudanowi. Zostanie obecnie postawiony przed panafrykańskim trybunałem rewolucyjnym.

Za tę skuteczną pomoc w walce z Murzynami otrzymały Sowiety bazę w porcie Sudan. Powstała zatem linia oparcia od południowego wylotu Kanału przez Dudan, Hodeida (Jemen), Aden (płd. Jemen), wyspę Sokotra do Berbera (Somalia). Jest to sieć baz dla floty sowieckiej, prowadząca do Oceanu Indyjskiego. Na razie, przy zamkniętym Kanale Sueskim ma ona niewielkie znaczenie strategiczne. Zyska je po zdobyciu tego „najszerzego okopu świata“.

Polityka sowiecka miesza się i do innych miejscowych wojen partyzanckich. Popiera ona anty-etiopski, panislamski Front Wyzwolenia w Erytrei. Od chwili kiedy wojska tego frontu zostały zaopatrzone w wyrzutnie raketowe i nowoczesne uzbrojenie — wojska chrześcijańskie cesarza Haile Selassie poniosły znaczne klęski w pobliżu prowincjonalnej stolicy Asmara.

Sudan, ze swej strony, dał prowizorycznemu rządowi wojny wyzwoleniczej kwaterę główną w Omdurmanie. Podobną pomoc jak bojownicy Frontu Wyzwolenia w Erytrei — otrzymało plemię Tubonomandów na terytorium Czad w byłej francuskiej kolonii Afryki Równikowej. Rząd w Fort Lamy wezwał na pomoc francuskich spadochroniarzy i Legię Cudzoziemską. Tak oto sowieccy dostawcy broni starli się pod równikiem z armią francuską. Kongo natomiast udziela baz powstańcom anzańskim i daje im broń pochodzenia amerykańskiego.

W każdym ognisku zamętu na świecie — jeśli nie zapłon to paliwo — przychodzi z miłującego pokój, a dążącego do władzy nad światem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Radząc w Europie nad pokojem, wolny Zachód i komunistyczny Wschód są w stanie wojny na innych kontynentach naszego globu, któremu należałoby się wreszcie trochę prawdziwego pokoju.

WOLNOŚĆ SŁOWA

W ostatnich tygodniach reżym warszawski przypuścił znowu jeden z wielu ataków na Rozgłośnie Radia Wolna Europa. Korzystając z podjętych przez kanclerza Niemieckiej Republiki Federalnej usiłowań ustalenia nowego *modus vivendi* z krajami Europy Wschodniej, w tym również i z Polską, reżym doszedł prawdopodobnie do wniosku, że jest wyjątkowo dogodna chwila, by w imię mających się odmienić stosunków (w co tylko bardzo naiwni appeaserzy mogą wierzyć) utłuc zniechęconą do szpiku kości Rozgłośnie Polską RWE. Odpowiedniej treści noty poszły do rządów amerykańskiego i niemieckiego, na którego terytorium działa RWE.

Niezależnie od akcji na odcinku dyplomatycznym, usiłuje się zgłębiać bezpiecznymi chwytami wywołać wrogię nastawienie do Radia Wolna Europa wśród Polaków na obczyźnie. Między innymi opublikowano w radio i w prasie krajowej „Oświadczenie Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polonijnych w W. Brytanii“ (?) mówiącego o tym, że RWE jest instytucją powołaną do siania dywersji i zamętu w krajach socjalistycznych, że zwalcza uporczywie wszelkie przejawy działalności polonijnej, wiążącej nas z Krajem, że wreszcie usiłuje zakłócić nasze dobre współżycie ze społeczeństwem krajów naszego zamieszkania.

Nie ma potrzeby prostowania tych łgarstw propagandowych, bo ich autorzy dostatecznie się ośmieszają przez sam fakt, że każdy może je skonfrontować z treścią słuchanych audycji RWE. Co zaś się tyczy owego „Komitetu Porozumiewawczego“, to należy stwierdzić, że jest on czystą inwencją zrobioną ad hoc dla potrzeb tego rodzaju co omawiana tu akcja.

Naszą działalność społeczną w W. Brytanii koordynuje Zjednoczenie Polskie zespalaające 56 organizacji. Ich postawa wobec reżymu komunistycznego w Kraju jest niedwuznaczna.

Wiadomo powszechnie, że u podłoża tej zjadłej i nie przebierającej w środkach kampanii przeciw RWE leży chęć stłamszenia jednego z nielicznych, ale bardzo skutecznych nośników rzetelnej informacji i wolnej, nieskrępowanej myśli.

Nad tym co się pisze w Polsce spoczywa niepodzielnie żelazna łapa partyjnego cenzora. Wszelka książka jak i prasa z Zachodu (poza niektórymi wydawnictwami w duchu komunistycznym, które tu korzystają z absolutnej swobody) nie mają dostępu do naszego kraju rodzinnego o „ograniczonej suwerenności“.

Jesteśmy w pełni świadomi, że Polska obecna jest więzieniem niepodległej myśli, stąd też uważamy działalność informacyjną radia RWE za wysoce pożyteczną i niezbędną. Nie łudzimy się ani na chwilę, że słowo płynące na fali eteru do Polski może dokonać rzeczy zbawiennych. Reżym rządzący naszym krajem opiera się na przemocą a nie na woli narodu, i przemocą tylko można go usunąć. Niemniej jednak głos wolny z wolnych krajów idący spełnia wielką rolę, bo podnosi na duchu zniewolonych, a zniewalającym odbiera poczucie całkowitej bezkarności.

Przebywając w kraju pełnych swobód demokratycznych, dajemy często na łamach swej prasy wyraz ścierającym się poglądom, a nawet kontrowersjom, chociaż czasem ich nie podzielamy, jeśli chodzi o wystąpienia natury personalnej (por. artykuł Hemara w poprzednim n-rze „Orła“). Robimy to również w stosunku do pu-

blicystów pracujących w RWE (np. w związku z akcją na rzecz odbudowy Zamku w Warszawie), co jednak nie umniejsza naszego uznania dla roli RWE na rzecz naszego uciemnionego kraju.

Wydawcy „ORŁA BIAŁEGO“

DOKUMENTY

INSTYTUT LITERACKI

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

DROGI WYJŚCIA

Studium o potrzebie reform gospodarczych i społecznych w krajach Europy Wschodniej.

Cena: 53 p., 2.25 dol.

Księgarnia SPK,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

ANGLOPOL Ltd.

z a ł a t w i a m y

Kupno — sprzedaż domów

— Pożyczki do 80%

226, Westbourne Grove,
London, W. 11.

Tel.: BAY 3645

BIBLIOTEKA POLSKA
W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK

JEDNYM z najtrudniejszych przestępstw do sądenia jest zbrodnia tchórzostwa, przewidziana w każdym wojskowym kodeksie karnym. Jest to dlatego, że zgodnie z koncepcją i pojęciem prawnym winy trudno dopatrzeć się jej w tym, iż ktoś się urodził tchórzem, lub że w konkretnym wypadku pod wpływem świadomości grożącego niebezpieczeństwa utracił siłę woli, wystarczającą na przezwycięzenie paraliżującego uczucia strachu.

Na przykład, po bitwie pod Monte Cassino broniłem przed sądem polowym podchorążego, oskarżonego o tchórzostwo. Podchorąży ten wyglądał jak nieopierzone kurczę: z grubymi okularami na krótkim nosie, drobny, blade i mizerny. Jego ogólny wygląd i zachowanie się przypominały raczej niedorozwiniętego i niezdarnego ucznia 5 klasy, a nie żołnierza. W dodatku nie miał on swym słabym i jęklwym głosem nic do powiedzenia na swoją obronę. Popęłnił on jednak straszną, bo zagrożoną karą śmierci, zbrodnię tchórzostwa, gdyż zamiast trzymać się swego oddziału i pójść z nim w wir śmiertelnej walki, tkwił przy wysuniętym punkcie opatrunkowym i żadne perswazyje lekarza i innych żołnierzy nie mogły go nakłonić do przezwyciężenia paraliżującej go siły strachu. Instykt samozachowawczy górował nad wszystkim.

W czasie przerwy w toku rozprawy zbliżył się do mnie jeden z asesorów, którego osobiście znałem i powiedział: „Co z nim zrobić“. Odpowiedziałem mu na to: „Modlić się za duszę oskarżonego“. Takie jest okrutne i nieubłagane prawo wojenne, które wypływa ze strasznego i okrutnego zjawiska wojny.

Gdyby to było dziś to przypuszczalnie poradziłbym temu asesorowi zaproponować sądowi, aby zawarł jakąś „umowę włoską“, lub uchwalił jakiś włoski „akt zjednoczenia“ i na tej podstawie odmówił w ogóle sądenia tego rodzaju spraw. W tym czasie jednak prawo było rzeczą świętą, a precedens „umowy paryskiej“ nie był nikomu znany na

ALEKSANDER STAMBROWSKI

Tchórzostwo a instykt

tym terenie i londyński „akt zjednoczenia“ jeszcze nie istniał.

Sąd był względny dla tego desperata. Uwzględniając wszystkie okoliczności łagodzące, których faktycznie i prawnie nie było, skazał go z artykułu przewidującego jako górną granicę kary — karę śmierci, na najniższy wymiar kary — 5 lat więzienia.

Były też sprawy bardziej skomplikowane i wymagające wysokiej techniki sądowej, aby wykryć prawdę materialną.

Był na Środkowym Wschodzie pewien oficer, odznaczający się niebywałą energią i krzykliwością, który utrzymywał swój oddział w żelaznej dyscyplinie, pomimo że był niski, szczupły, o łęgowatych, cienkich nogach i małej twarzy, ucharakteryzowanej krótkim noskiem w kształcie małego kartofla i wytrzeszczonymi oczami.

Podczas jednej z podróży morskich transportowano mój oddział, na tym samym okręcie, którym przewożono oddział dowodzony przez tegoż oficera. Od wczesnego rana do południa oficer ów biegał po okręcie i krzyczał na swych żołnierzy. Po obiedzie był nieco spokojniejszy: widocznie trawił.

Pewnego razu stałem z lekarzem okrętowym i paru angielskimi oficerami na pokładzie. W tym czasie przebiegł obok nas ów oficer z piekielnym wrzaskiem. W związku z tym jeden z oficerów powiedział: „Obserwuję tego człowieczka (little fellow) od kilku dni i doszedłem do wniosku, że jest on tym ogniem (missing link) łączącym człowieka z małpą, którego Darwin nie znalazł“. Na to powiedział lekarz: „Nic podobnego, ja jako ginekolog w życiu cywilnym stwierdzam, że jest on niedonoszony“.

Później los zrządził, że znowu spotkałem się z tym oficerem, lecz w zgoła innych okolicznościach. On był koronnym świadkiem w sprawie o

tchórzostwo swoich oficerów, a ja byłem ich obrońcą przed sądem polowym.

Jak wykazał przewód sądowy, ów oficer przed bitwą o Monte Cassino kazał zbudować sobie głęboki i solidny schron, którego przez cały czas bitwy nigdy nie opuścił, podczas gdy inni dowódcy pułków, a wśród nich mój, udali się na początku bitwy na punkty obserwacyjne i przebyli tam co najmniej po dobre, przy czym obejrżeli osobiście sytuację terenową i batalistyczną, jak również pozycję własną i nieprzyjaciela, aby wiedzieć czego można w tych warunkach od żołnierzy wymagać i spodziewać się. W konsekwencji żaden z nich nie miał w swych oddziałach tchórzów, chociaż podczas bitwy różnie było. Natomiast ów „energiczny“ oficer oskarżył aż trzech oficerów o tchórzostwo. Dwóch z nich broniłem w sądzie polowym.

Jeden z tych oficerów miał dyzenterię i wysoką gorączkę, stwierdzone przez lekarza pułkowego. Nie poszedł do szpitala tylko dlatego, aby nie być, zgodnie z istniejącą wówczas wśród wojska atmosferą, posądzonym o tchórzostwo i radził sobie jakoś na stanowiskach dział. Gdy otrzymał rozkaz pójścia na punkt obserwacyjny zameldował o swym stanie fizycznym dowódcy pułku, zaznaczając, że jeżeli jest to konieczne wykona rozkaz, obawia się jednak, iż jego stan zdrowia może mu na to nie pozwolić. (W dzień absolutna niemożliwość poruszania się pod stałą obserwacją nieprzyjaciela). Podczas meldunku dowódca pułku wpadł w szał i zarzucając mu tchórzostwo kazał go natychmiast aresztować i odesłać do więzienia polowego.

Drugi oficer idąc w nocy na punkt obserwacyjny zbłądził i o świcie dostał się pod silny ogień wszelkich broni. W dodatku oficer ów zemdlął pod ogniem i idący z nim żołnierze nie mogli przez dłuższy czas go ocucić. W konsekwencji pomimo, że w końcu dotarł do punktu obserwacyjnego, będący na nim oficer i żołnie-

s a m o z a c h o w a w c z y

rze nie zostali zlurowani i musieli przebyć tam dwie doby. (W dzień nie można było tego dokonać ze względu na silny ogień). Oficer ten również został na rozkaz dowódcy pułku aresztowany i oskarżony o tchórzostwo.

* * *

Podczas obu rozpraw sądowych wyszło na jaw, że nie oskarżeni byli tchórzami, lecz ich dowódca, któremu wskutek tego wydawało się, iż każdy jest tchórzem. W konsekwencji obaj oficerowie zostali uniewinnieni. Przed rozprawą jednak przebyli kilka miesięcy w więzieniu.

Miałem w tym wypadku o tyle ułatwione zadanie, że jako uczestnik bitwy w tej samej broni znałem trudności, które piętrzyły się przed biorącymi w niej udział. Pomogli mi w tym walnie dwaj biegli lekarze, którzy będąc wyprowadzeni z równowagi butnością i pewnością siebie oskarżyciela, podczas zadawania mu pytań nie szczędzili dobitnych słów. Przed wojną lekarze ci byli profesorami psychiatrii na polskich uniwersytetach i jakoś przeżyli zsyłkę w Rosji, pracując przy wyrębie lasu na dalekiej północy.

W konsekwencji drugiej rozprawy, po opuszczeniu przez oskarżyciela sali sądowej, rozległ się za otwartymi oknami jego donośny i piskliwy głos: „Ja, dowódca pułku, oskarżam go o tchórzostwo, a oni robią z niego bohatera“.

Z tego widać, że kontrowersja, wbrew mniemaniu niektórych naszych redaktorów, nie jest aż tak złą rzeczą, bo z kontrowersji prawda wypływa jak oliwa na powierzchnię wody.

ISTOTA TCHÓRZOSTWA

Mówi się o tchórzach i tchórzostwie z głęboką pogardą, przy czym zapomina się o wrodzonym człowiekowi instynkcie samozachowawczym, głównym czynnikiem zachowania gatunku, w którym ma on swe źródło.

Instynkt ten jest w różnym stopniu rozwinięty w różnych osobnikach, a nawet narodach — dlatego różne jest w nich natężenie strachu, wywołującego stan psychiczny tchórzostwa. Słowem tchórzostwo jest pochodną intynktu samozachowawczego. Wskutek tego zamiast potępić w czambuł zjawisko psychiczne tchórzostwa, wskazanym byłoby raczej wgłębienie się w jego istotę i czynniki będące u jego podłoża.

Charakterystyczną jest rzeczą, że tchórz tam gdzie nie grozi mu osobiste niebezpieczeństwo, i jeżeli jest obdarzony władzą w szerokim zakresie, zazwyczaj wykazuje niezwykłą energię i „odwagę“ w stosunku do tych, którym może rozkazywać. Spotykałem podczas wojny wyższych oficerów, którzy poważnie zastanawiali nad tym, dlaczego najlepsi (surowi i energiczni) oficerowie w czasie pokoju okazywali się niekiedy kiepskimi dowódcami na wojnie, a w pewnych wypadkach nawet tchórzami. Natomiast „ofermy“ i safanduly często zdobywali się na czyny nadzwyczajne, a nawet bohaterskie.

Psychologicznie można to wytłumaczyć tym, że ludzie ci (odważni i energiczni w czasie pokoju) wyczuwając podświadomie swą psychiczną ułomność w dziedzinie uznanej przez powszechną opinię za godną potępienia i pogardy, zmierzają, również podświadomie, do nadkompensaty swych braków i defektów na tym polu. Inaczej to wygląda w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa dla

Odnowienie prenumeraty na czas to najlepsza pomoc dla pisma!

życia. Tu podświadomy instynkt samozachowawczy bierze górę nad wszelkim usiłowaniem zachowania twarzy, co się objawia w typowym tchórzostwie i taki osobnik jest bezradny.

Mówi się, że nieszczęściem kłamcy nie jest to, że kłamie. Natomiast jest nieszczęściem to, że nikomu on nie wierzy. To samo jest z tchórzem, który podświadomie widzi tchórzę w każdym innym (projekcja), bo wydaje mu się, że inaczej być nie może (egocentryzm), przy czym wskutek wywołanej podświadomie nadkompensaty tej psychicznej ułomności, gnębi bez litości (jeżeli może) wszystkich rzeczywistych i urojonych tchórzów. Nie widzi on między nimi różnicy.

Wszyscy normalni ludzie (z wyjątkiem psychopatologicznych) odczuwają strach w obliczu niebezpieczeństwa, gdyż są obdarzeni przez naturę instynktem samozachowawczym. Odwaga, dzielność, pogarda śmierci itp. są produktem wyłącznie silnej woli przewyciężenia strachu i okiełzania instynktu samozachowawczego.

Znałem oficera podczas wojny, który po wyjściu cało z niezmiernie niebezpiecznej sytuacji chełpił się, że nie przeżył absolutnie uczucia strachu i twierdził, iż uczucie to nigdy go nie nawiedza. Istotnie, jego podkomendni potwierdzili, że zachowywał się jak gdyby był ulany ze spizu

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena: £2.25

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7.

i nie miał nerwów. Jednakże zaraz po wyjściu z oparów oddał ordynansowi swe gacie, aby je wyprał. W dodatku przez pewien czas często biegał „na stronę“. Pomimo tego „casus pascudei“ oficer ten nie był tchórzem, lecz wręcz przeciwnie wskutek silnej woli odważnym człowiekiem. Niepotrzebnie tylko udawał nadczołwieka, co psychiatra, gdyby mu uwierzył, mógłby uznać za objaw psychopatii.

TCHÓRZOSTWO A ODWAGA CYWILNA

Tchórzostwo w szerokim pojęciu pojawia się nie tylko na polu walki i w sytuacji zagrażającej życiu własnemu, lub innych osób, lecz również w mniej groźnych sytuacjach życia codziennego. Potocznie nazywamy to brakiem odwagi cywilnej. W obu jednak postaciach tchórzostwo w warunkach pokojowych nie stanowi przestępstwa.

Nawet w kwestii życia i śmierci powszechny kodeks karny jest pobłażliwy dla osób przejawiających tchórzostwo, albowiem podlega karze tylko ten „kto nie udziela pomocy człowiekowi, znajdującemu się w położeniu, grożącym niebezpieczeństwem dla życia, mogąc to uczynić bez narażenia siebie lub osób bliskich na niebezpieczeństwo osobiste“. Dotyczy to zarówno osób cywilnych jak i wojskowych.

W związku z odrzucaniem ostatnio przez niektórych naszych redaktorów artykułów, satyr itp. utworów — nawet pisanych przez wybitne i znane osoby — dotyczących zjednoczenia się przywódców uchodźstwa i nawołujących do jego urzeczywistnienia się, pojawiły się głosy, że powodem tego jest tchórzostwo, albowiem rzekomo redaktorzy ci boją się „wielmożów emigracyjnych“, od których zależą, przeciwnych zjednoczeniu i zgodzie na uchodźstwie.

Jeżeli wersja ta jest prawdziwa, to jest to raczej zagadnienie odwagi cywilnej, gdyż nie wchodzi tu w grę niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia redaktorów. Przy rozszerzającej jednak wykładni pojęcia tchórzostwa i na tle ewentualnych pobudek działania tych osób, można to postępo-

wanie uznać za przejaw *sui generis* tchórzostwa, albowiem utrata posady przez starsze osoby i niemożliwość znalezienia przez nie odpowiedniej pracy może wywołać mało mniejszy strach niż przed narażeniem się na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia. Tak samo więc w tym wypadku jak i w wypadku klasycznego tchórzostwa może być ta ułomność i słabość ludzka przewyższona tylko przy pomocy silnej woli, a wiadomo, że z postępem wieku siła woli ulega osłabieniu.

Z drugiej strony jeżeli ci redaktorzy są również świadomymi lub podświadomymi zwolennikami niezgody i anarchii w naszym życiu politycznym i publicznym zarzut tchórzostwa lub braku odwagi cywilnej całkowicie odpada.

PSYCHOANALIZA I ORZECZENIE

Na tle powyższego dobrze byłoby gdyby zabrali w tej sprawie głos nasi zawodowi psychiatrzy, psychologowie, filozofowie i prawnicy.

Chodzi tu o stwierdzenie i ustalenie czy powodem naszych kłopotów i „frustracji“ jest gerontyzm (umysłowa niemoc starca), czy zła wola, albo zgoła głupota, a może wszystko razem wzięte i jeszcze coś innego,

Przy tej psychoanalizie należy jednak pamiętać słowa francuskiego filozofa Pascala, który powiedział, że „wiek nie psuje ani poprawia — wiek tylko akcentuje“, czyli z upływem lat głupi staje się głupszy, a mądry mądrzejszy. Teza Pascala nie ma, oczywiście, zastosowania w wypadkach zaburzenia umysłowego, lub choroby umysłowej i tam gdzie wchodzi w grę przemożna i niepohamowana, a tym samym patologiczna żądza władzy.

Trudność jednak w takim przedsięwzięciu wynikłaby z faktu, że wszystko jest osnute tajemnicą, a wyraz opinii publicznej jest zdławiony przez uniemożliwienie dyskusji na ten temat na łamach prasy (coś w rodzaju cenzury). Zamieszczone ostatnio w Dzienniku Polskim „sprawozdanie z rozmów zjednoczeniowych“ przez przewodniczącego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego jest pustym dźwiękiem, bo nic nie mówi. Konieczna jest tu jawna kon-

trowersja opinii publicznej, podobna do tej jaką stosują strony w postępowaniu sądowym. Wtedy tylko specjaliści będą mogli wydać wyrok.

Aleksander Stambrowski

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wysła, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE
ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z
Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

OFICyna POETÓW I MALARZY

Marian Hemar

ODY HORACJUSZA

Utwory wielkiego poety smutku i żartu, wolne od szkolarskiego pedantyzmu, jawią się w nowej, uroczej szacie słownej.

Cena: £ 1.40

Do nabycia w KSIĘGARNIACH

OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA

PRZYOKAZJI

ROK temu z górą, jak ten czas leci, napisałem niewinny wierszyk o jajkach, zawierał przestrożę, n. b. żartobliwą, że nie należy wszystkich jajek nieść w jednym koszyku, w myśl sprytnego przysłowia tubylczego „don't put all your eggs into one basket“. Doświadczenie angielskich biznesmenów radzi dostatki ziemskie, akcje giełdowe, papiery wartościowe, waluty dewizy, itp., jajka lokować w rozmaitych zabezpieczeniach, żeby nie tracić wszystkiego naraz, jeśli jeden koszyk, czy bank, czy dłużnik zawiedzie, żeby zawsze mieć jakąś rezerwę nietkniętą, na wypadek takiej czy innej katastrofy.

Wielu czytelników wzięło mi ten wierszyk za złe. Wyciągnęli zeń wnioski, że jestem wrogiem POSKU. Wniosek niesłuszny i z krzywdą dla mnie. Polak, uchodźca na obcej ziemi, w miarę choćby rozsądny i poczciwy, w okresie w którym rozchwytywają się i zacierają ideologiczne kontury emigracji, nie ma prawa być „wrogiem“ ludzi dobrej woli, nie ma prawa być wrogiem inicjatywy scalającej nas wszystkich, prowadzącej ku ideowemu odrodzeniu i zakotwiczeniu. Choćby inicjatywa była bardzo spóźniona, tym bardziej jest dziś aktualna.

W wierszyku szło o to co wyraziłem powiedziałem, a co niewyraźnie rozumiano: żeby nie centralizować zbyt skwapliwie wszystkich uchodźczych zasobów w koszyku jednego Posku, żeby na rachunek przyszłego dokonania nie poświęcać dokonań dzisiejszych, prosperujących, nie wyrzekać się póki można, osobnych instytucji, klubów, lokali, rezerwatów. Mniejsza, oczywiście, o ten wierszyk i o mnie. Myślałem, że kiedyś, przy okazji, sprostuję te nieporozumienia. Okazała akurat dziś mi się napatoczyła, zaraz do niej dojdę, jeszcze chwileczka.

Trzeba sobie zdawać sprawę z dużych, ważnych trudności, które wyrażają przed działaczami i entuzjastami Posku. Sto lat temu, znakomity niemiecki humorysta i rysownik,

Wilhelm Busch, napisał nieśmiertelny dwuwiersz:

*„Fater werden ist nicht schwer,
Fater sein dagegen sehr.“*

Co dałoby się przełożyć na polski:

*„Ojcem zostać łatwo. Lecz
Ojcem być — trudniejsza rzecz.“*

Trzeba pamiętać o tym, że Posk, pod wodzą trzech muszkietierów obywatelskiego zapału, prof. Wajdy, Stefana Zamoyskiego i Ryszarda Zakrzewskiego, jest obecnie w romantycznej fazie swego bytu, w okresie właściwie najłatwiejszym, w okresie upojenia, w okresie darów, pomnażania członków, kreślenia planów, kopania fundamentów, wznoszenia pierwszych ścian. Ten okres kupowania i konwersji domów w Londynie jest najpiękniejszy i najgładszy. Najłatwiej zaciągać pożyczki wszelkiego rodzaju, na konto finansów, czy idei, czy entuzjazmu. Trudności przychodzą i mnożą się potem, kiedy trzeba spłacać długi, raty i procenty, kiedy trzeba domem zarządzać, kiedy trzeba dziecku przewijać pieluszki i budzić się po nocy, bo dziecko się drze i moczy. Ojcem być — trudniejsza rzecz.

Każdy pisarz, nie tylko satyryk, każdy publicysta, myśliciel, społecznik, przyjaciel Posku, który jego entuzjastom będzie przypominał o czekających ich trudnościach wychowania wielkiego dziecka, będzie jego prawdziwym ojcem chrzestnym.

Posk budują ludzie z pokolenia, które wyrastało na zasadach ofiarności dla spraw ojczystych, które z mlekiem matki wyssało idealizm dziejowy, które uczyło się czytać na Żeromskim, wzruszać na Wyspiańskim, rósć w dumę na Sienkiewiczu, (śmieć się uczyło na Hemarze, ale dopiero grubo później, niekiedy za późno). Ale nie oni będą zarządzali Poskiem, nie oni będą go strzegli, wiedli, chowali uczyli stać na własnych nogach. Nie budują Posku na rok, ani na dziesięć lat. Potrzebni

będą nowi ludzie, ich synowie, następcy.

Zdaje mi się, że równoległe ze wznoszeniem murów, ważna i pilna, kto wie, czy nie jeszcze ważniejsza, jest sprawa tworzenia kadry przyszłych dyrektorów, kierowników, zarządców, prezesów tego Nowego Rapperswilu, który powstaje dzisiaj. Gdzie są przyszli Wajdowie, Zamoyscy, Soboniewscy, Zakrzewscy, Hęciakowie, Sabbaci, Jundziłłowie-Balińscy, którym ojcowie oddadzą rząd Posku? Niektóre z tych dzieci już dziś trzeba by zacząć uczyć na nowo czytać i pisać i mówić po polsku, ale i to nie wystarczy. Niektórym dzieciom „Siłaczka“ Żeromskiego, albo sienkiewiczowski „Latarnik“, jak w moim skeczu, zabrzmi literacką parodią.

Żyjemy w bardzo przełomowej dla emigracji chwili. Symbolem tego przełomu wydają mi się dwaj „jednoramienni bandyci“, których zarząd naszego „Ogniska“ ustawił w podziemiach lokalu, pomiędzy kuchnią a „Pegazem“. Przechodzą tamtędy albo młodocieni goście „Pegaza“, (*ci, których wychowujemy*), albo pracownicy kuchni, szatni, czy magazynów „Ogniska“. To na ich czyhają oba gangstery, na kogóż by innego?, aby im odbierać ile się da. Wiadomo, że grający nie mają szans, jednoramiennych członków „Ogniska“ tak można regulować, aby hersztom przynosili 10, czy 20, czy 30 procent dochodu od stawek. Nawet jeśli na stu grających jeden wygra „jackpota“, (*po polsku „Kubę Garnka“?*) dziewięćdziesięciu dziewięciu przegra, tj. zwróci „Ognisku“ swoje tygodniówki. To co z ironią wżgardliwą mawiali Rzymianie, że „pecunia non olet“, to ma, oczywiście, swój sens odwrotny. Bardzo, niestety, śmierdzące są te zyski, bardzo w samej zasadzie niemoralne, nie na miejscu w tym zwłaszcza eleganckim, reprezentacyjnym, patriotycznym polskim lokalu. Mój pech, tak mi w tej chwili wpada na myśl, że nie jestem członkiem „Ogniska“ tylko bywam tam gościem, (*żeby cza-*

sem pograć w „jackpota“), bo bym od razu w proteście zrezygnował z członkostwa. Bardzo cieszy mnie myśl, że w lokalach Posku nie znajdzie się miejsce dla takich, ani innych jednorękich kalek. Asumpt do tych wszystkich rozważań dał mi właśnie przypadek — duży artykuł sędziwego pisarza Melchiora Wańkowicza, ogłoszony w „Życiu Warszawy“, z końcem marca tego roku.

Melchior Wańkowicz jest bardzo interesującym okazem pisarza, który nie miał w życiu wrogów, prócz siebie samego, nikomu nie dał się pognać, tylko samemu sobie. Zawsze był duży, gruby, ciężki, przy tym niesłychanie żywotny, naładowany energią, zawsze w ruchu, w działaniu. Jest jakby polskim Balzakiem, ma z Balzaka niemal wszystko prócz geniuszu, ma jego ogromny łeb, jego manię do wielkich interesów, do prospektów, do afer, do zarobków, do pieniędzy przez duże P. Nie zna czy to, że Melchior nie ma pisarskiego talentu, ma talent szczególny. Zawsze umiał pisać dużo, płynnie, miał to wrodzone rozwolnienie stylu, tę łatwość stenografa, muzykalność tapera, (*uwaga dla p. zecera: tapera, nie Kapera! Tego by tylko brakowało!*) W co drugim zdaniu trafiał mu się banał albo językowe niechlujstwo, w co piątym zdobywał się na niespodzianą trafność wyrazu i dosadność sformułowania, wyglądało na to, że nigdy nie poprawiał maszynopisów, co chlapanął to chlapanął, co mu samo wyszło, już tak zostało, czasami lepiej, czasem gorzej, byle od razu, na gorąco. Bystry reportażysta umiał czytać pismo nosem i zwęszyć co w trawie słyhać. Wymyślił formę książkowego reportażu upstrzonego fotosami i wykresami, mapkami i rysunkami. Na tropach Smętka zaniósł go do Monte Cassino, po drodze wynalazł, że cukier krzepi, spec reklamowy, polski Goldfinger, wydawca książek, zrobił niejedną dobrą rzecz w życiu, najlepszą było wydostanie Sergiusza Piaseckiego ze „Świętego Krzyża“, do czego walnie się przyczynił, w Kanadzie napisał szereg grubych tomów o tym, o owym, o tamtym, zdumiewająca myśl, że tyle napisał, tyle robił, tylekroć się odzywał, tyle książek ma za sobą, nikt

go nie bierze na serio. Doprawdy, dziwnie się robi, gdy rozważać, jak można tak roztrwonić swoje możliwości, tak je unicestwić, tak się samemu przydeptać — czy on jest po tej stronie, czy po tamtej, czy przeciw komu, czy z kim, czy za to dostaje pieniądze, czy za co innego, czy głosi tak czy inaczej — nikt go nie bierze na serio. Siadł między wszystkie stołki, niewiadomo, czy on wszystko dla reklamy, czy dla mamonny — ma w sobie jakąś gruczołową chciwość, jakieś diabetyczne łakomstwo pieniędzy, jak mawiał Słonimski o kimś innym, wspólnym naszym przyjacielu, „to jest raptus na forszę“, a przy tym niewiadomo po co mu były pieniądze, nigdy nie żył szczególnie ponad stan, nie grał w karty, nie leciał na dziwki, zawsze miał przydeptane obcasy i ubierał się byle jak, latem jeździł z czarującą swoją córeczką kajakiem, to była jedyna jego ekstrawagancja. Kiedyś, w jakimś konspiracyjnym liściku do mnie, sam podpisał się „Melch. Mamonowicz“... Toteż w ogniach politycznej, czy ideowej, czy emocjonalnej walki, w polemikach takich czy owych, jego nikt nie zaczepiał, nikt go szczególnie nie łąjał, nie chwalił, nie ganił, nikt nie brał go na serio. Nawet Gomułka nie.

Melchior Wańkowicz, w „Życiu Warszawy“ pisze artykuł „Opaskudzaczom Zamku“. (*Od razu w tytule fałsz — co innego szacowny dla wszystkich Zamek, co innego niedowarzony pomysł zbiorczy na jego odbudowę, pod egidą okupantów. Takich fałszerstw w całym artykule, na każdym kroku*). Nie myślę przytaczać całego artykułu z wszystkimi głupstwami, blagami i z całą służalczą maskaradą politycznego obojniaka, wybieram kilka szczegółów. Żeby jednak nie odpowiedziano, że je „wyrwam z kontekstu“ — kto chce, znajdzie w Anglii „Życie Warszawy Nr. 69 — 21/22 marca.

„Niedowarzony — zasklepiełem się w poszlacheckim pokutnictwie. W neofickim materializmie. Ludzi wprowadzać z poddaszy, a nie operę budować. Zjadłem grzecznie obiady u jej promotora Szyfmana i cholera mię trzęsła.“ (*Cale życie tak robił*). I jeszcze w listopadzie, przed grud-

niem, nim „to“ wybuchło, („to powstańko“ — *grzecznie, prawda?*) zapytany o odbudowę Zamku, odpowiedziałem twardo — „nie!“. (*twardo odpowiedział, tak pisze sam o sobie, cóż za kabotyń*).

„Na jakież cel można dać było pieniądze? Na sieroty, starców, kaleki? — Wszystko zadbane, uporządkowane, zabudżetowane, s z c z u p ł o, ale planowo — gdzież tu się ciśniesz, groszu wdowi?“ (*Czytam te słowa, widzę przed sobą uśmiechniętą opasłą gębę. Ręka mnie świerzbi*).

Potem dużo, dużo mętnej wody filozoficzno-spolucjonowanej. Potem przychodzą takie kwiatki:

„Tłumaczono nam, że jesteśmy przedmurzem. Nadszedł czas, że gęb do żywienia jest coraz więcej, świat się zbliżył, cywilizacja zachodnia jest w odwrocie... wszystko co jest w ludzkości żywotne: katolicyzm, marksizm, neokapitalizm, podejmuje założenia uniwersalistyczne. Historia jest mądra i bezlitosna pani. Da szansę tylko czynnikom uniwersalistycznym. Polska jest pomostem nie zaś przedmurzem. W tym jej szansa, bo przecież jej nie dadzą ani nasze skromne zasoby naturalne, ani liczebność, ani poziom. (?) Tę szansę da tylko elastyczność“ (*życiowy program autora*). „To jest szansa, ale i niebezpieczeństwo. Bo adaptacyjność bez silnego podkładu samoistnych wartości przynosi nie korzyść, lecz zgubę. Możemy się cieszyć, że nie będziemy gruchotanym przedmurzem, że staniemy się potrzebni światu wnosząc swój język bardziej zrozumiały w tarcia międzycywilizacyjne, ale cóż z tego, jeśli mimo to zatracimy swoją indywidualność.“ (*Czyżby aluzje do inwazji Węgier? Czechosłowacji?*)

Wiem o inwalidzie bez nogi, któremu trudno wyżyć z renty, ten człowiek został krwiodawcą — aby złożyć pięćset złotych na Zamek. ...Moja sekretarka, kiedy dałem jej do wypełnienia przekaz na konto Zamku, powiedziała cicho: „Ja też dałam 50 złotych i co miesiąc będę dawać“. — „Nic mi nie mówiłaś“. (*Dlaczego mówiła „cicho“? — pewnie przyklnęła oczy, rumieniec oblał jej twarz, piersią falowała z lekka. Nic mi nie mówiłaś... rzekł stary ka-*

botyn, gładząc jej ciemną główkę).

Było to jej przeżycie tak głębokie, że aż osobiste. Głęboką potrzebę pospieszenia z ofiarą poczytała za tak intymne, własne, że aż wstydlive zdarzenie“.

„Rozmawiałem z dyrektorem Lorentzem. Wierzy, że potrzebne pół miliarda sami damy. Bez sięgania do kasy rządowej, gdzie po prostu wpisze się ten wydatek między rubrykami wydatków zatwierdzonych. *„(Co to znaczy? Czy to jakiś kant? Damy sami, czy kasa rządowa po prostu wpisze do wydatków? To nic nie znaczy, to wszystko głędy i bujdy, mówiłem wam, że on tak pisze, a wyście nie wierzyli).*”

„Przed wojną powołano mnie jako specjalistę od reklamy na stanowisko kierownika pożyczki inwestycyjnej. Rozważyłem nastroje i powiedziałem, że akcję przeprowadzę bez nacisków. Odrzucono mój plan, zarządono komedię: zgromadzenia po zakładach pracy jednogłośnie i z entuzjazmem ustalały sukskrypcję, ustalały procent od poborów i te sumy ściągano co miesiąc przy wypłatach. Zgaszono dobrą wolę, stworzono niechęć.“

Znam tę sprawę. Melchior Wańkiewicz odwiedził mnie wtedy z prośbą o parę propagandowych wierszyków, które dla pożyczki inwestycyjnej napisałem. Co to znaczy, że zapowiedział akcję pod warunkiem, że bez nacisków, ale odrzucono jego plan? Czy podał się wtedy do dymisji? Czy rzekł się stanowiska kierownika pożyczki? Nie podobnego. Został na tej dobrze płatnej posadzie do końca, dostawał procenki od wpłacanych sum, które istotnie wymuszano na ludziach, zwłaszcza na prowincji, w sposób nieraz brutalny i bezwzględny. Wiem o pewnym wojewodzie, (jest dziś na emigracji), który podległym sobie starostom rozesłał tajny okólnik: Pożyczka albo Bereza! Melchior Wańkiewicz też o tym wiedział. Jedyna okoliczność łągodząca, że była to wtedy dość korzystna finansowo dla płatników pożyczka na cele inwestycyjne Państwa Polskiego, że te zgromadzenia po zakładach pracy jednogłośnie i z entuzjazmem nie uchwały danin na Koreę, na Wietkong, na Chiny, na Egipt, Melchior Wańkiewicz też wie

o tym, on nie taki głupi, żeby nie wiedział, tylko taki obłudnik.

Ale moja okazja dopiero przychodzi:

„Przed rokiem byłem w Londynie. Jak się w nim czułem? Jak wszędzie pośród Polaków, i tu i tam. Stąpam po gorących kamieniach i jednocześnie czuję bijące serca. *(Mówiłem wam, że on tak właśnie pisze, jak natchniony pótanalfabeta).*”

Zetknąłem się z profesorem Wajdą, wiceprezesem i skarbnikiem „Budowy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie“. Jego całkowitą zasługą jest imponujący fakt dźwigania tej budowy. Patrząc na zatwierdzone plany, na realizowane finanse, spojrzałem z zainteresowaniem na rozmówcę. Z emigracją dzieliło mnie wiele i kubły pomyj wylwane na mnie, wraz z kubłami błota wylewanymi z przeciwnej strony“ — *(zaraz, zaraz, panie Melchiorze, przepraszam, że przerywam: Kto stąd kiedy na pana wylewał kubły pomyj? Nikt nigdy. Jeśli wspominał pana, to ze wzruszeniem ramion i pobłażliwą ironią. A co to jest ta „przeciwna strona“ i jej kubły błota? Dlaczego z takimi ogródkami pisze pan o reżymowych pismakach, swoich koleżkach? Cóż z pana za krętać, i jaki tchórz!...).*

„Profesora nie znalazłem, ale wiedziałem, że tacy ludzie są. Bardzo bym chciał być z tymi ludźmi i z tej, i z tamtej strony.“ *(Przez całe życie tak chcia!).* Więc wpłaciłem dziesięć funtów jako składkę członka rzeczywistego. Bardzo chciałem dostać się na listę opublikowaną. To jak mnie zależy o wiele więcej figurować jako ofiarodawca na dom londyński, tak samo, przypuszczam, że wielu Polakom z emigracji zależałoby, żeby właśnie ich dar na Zamek był ujawniony. *(Cóż to za niechlujnie napisane zdanie!)* Choć i ich biednych i zagonionych mogłyby za to spotkać ostracyzm (!?), a mnie tu w kraju nieufne czmyhanie (?) i niepomyślne, acz niekomentowane reperkusje wydawców... (!)

Ale urwano ten niebezpieczny laurowy listek. Otrzymałem po swoim powrocie list urzędowy „Ośrodka Społ.-Kult. w Londynie“ odrzucający moje dziesięć funtów. Jak widać, Komitet jest zbyt uczciwy, by hołdo-

wać hasłu „pecunia non olet“, i nie przyjął ofiary z brudnych rąk reżymowca.“ *(Czasem, raz na kilkadziesiąt zdań, trafi mu się jedno prawdziwe).*

Nie na tym koniec artykułu Melchiora Wańkowicza. Jest w nim jeszcze wściekły atak na Janusza Kowalewskiego, na „Dziennik Polski“, na Józefa Mackiewicza, który „obecnie jest proklamowany jako największy pisarz emigracji, patrz list redakcji „Wiadomości londyńskich, i na razie nie na Zamek lecz na niego płyną szeroką strugą składki obalamucyjnych“.

To Melchiora boli najbardziej, boleć nie przestaje, nie tylko zresztą jego, nie, nie tylko. Kto chce, niech doczyta go w „Życiu Warszawy“ do końca. Mnie to com zacytował, do mojej okazji wystarcza.

To że profesor Wajda zdecydował się nie przyjąć owych dziesięciu funtów, aby na liście członków założycieli i fundatorów kompleksu Szklanych Domów Uchodźczych nie znalazło się jednak nazwisko Melchiora Wańkowicza, sam ten gest prezesa Posku jest ręką niezmyślonego instynktu, dumnej świadomości, prawości ideowej. Sam ten gest mówi mi nieskończenie więcej niż drobna suma pecuniae olentis, którą odrzucił. Ten gest należało by przekazać przyszłym zarządom, on napawa nadzieją, że i teraz i nigdy nie będzie tam miejsca dla jednoramiennych, czy dwuramiennych, czy kilkurekich gangsterów, raptusów na forszę...

Nawet gdybym w istocie był „wrogiem“ Posku, nawróciłbym się w tej chwili. Przy tej okazji uświadamiam sobie, że nie jestem członkiem rzeczywistym Posku, jakoś to przeoczyłem. Żeby Posk jednak nie stracił dziesięciu funtów, na co nie można sobie tak łatwo w dzisiejszych czasach pozwalać, przesyłam na ręce prof. Wajdy 10 funtów i proszę o zanotowanie mnie wśród członków. Wyobrażam sobie, jaka radość będzie wśród Zamkowców, Kronikarzy, itp., Wańkiewiczów, jeśli zarząd Posku odrzuci moje 10 funtów. (Przez te jajka?)

Napisałem w przedostatnim „Orle Białym“, że o wiele milej mi chwa-

lić, niż ganić. O wiele przyjemniej komplementować kogo niż wyszydzać — trudniej, rzecz jasna, bo sposobności mniej, ale na sercu cieplej. Jako Hemar zawsze tak ludziom życzliwy, nie mogłem nie zwrócić uwagi — nie ja jeden zresztą zwróciłem ją — na „Tydzień Polski“ z dn. 22 maja, była w nim recenzja z przedstawienia rittnerowskiego „Głupiego Jakuba“, pióra p. Janiny Tokarskiej. Od wielu lat nie czytałem, poza swoimi, recenzji tak dobrze i uczciwie napisanej, ponadto, z taką znajomością rzeczy i skromnością oceny. Jestem pewny, że wykonawcom sprawiła szczerą radość. Nie wiem kim jest p. J. T., nie wydaje mi się, że spotkałem się kiedyś z jej nazwiskiem w druku, może to pseudonim — ale czy? Jeśli nie pseudonim, warto autorkę częściej zapraszać do pisania recenzji.

Jeśli pochwała mego pióra istotnie mogłaby odnieść jaki skutek i przysłużyć się komu: chciałbym udzielić jej znakomitemu miesięcznikowi „Na Antenie“, ich Redakcji i Administracji. Dowiaduję się, że od niedawna zawiesili ogłoszenia swego pisma w „Orle Białym“, nie wiem czy ze względów oszczędnościowo ekonomicznych, czy innych, tym bardziej przyda im się teraz życzliwa uwaga przyjaciół, propaganda przychylnych recenzentów, reklama b. współpracowników.

Niedawno temu, w dniu 27 maja, w „Timesie“, natknąłem się na świetny, zaskakujący trafnością wyrazu i ekspresją języka artykuł polityczny znakomitego publicyście, Bernarda Levina. Dziwię się, że artykuł, tak żywo nas obchodzący, był dotąd zignorowany przez naszą prasę. Przekładam go teraz w obszernych fragmentach, tytuł brzmiał: BUNT EUNUCHÓW:

„Kiedy w 1968 Czechosłowacja została napadnięta i ujarzmiona przez Rosję i jej kolonie, Brytyjska Partia Komunistyczna po raz pierwszy w ciągu swego istnienia, istotnie ośmieliła się na wyrażenie łagodnej krytyki w stosunku do swych panów,

zdaje się, że nazywała tę inwazję „pomylką“, czy czymś w podobnie pozbłażliwym stylu. Nie byłbym bardziej zdziwiony niż gdybym się dowiedział, że eunuchy Haruna al Raszyda zbuntowały się, złupiły harem i zgwałciły jego mieszkanki.

W przemówieniu, które brytyjscy towarzysze mieli wygłosić na tegorocznym kongresie czeskiej partii, znalazł się zwrot nazywający tę inwazję „tragicznym błędem“. Prawda, że brytyjscy bracia nie całkowicie zapomnieli o swych powinnościach. Przemówienie zostało zawczasu, pokornie przedłożone do zatwierdzenia. Gdy na nie nie pozwolono, brytyjska delegacja nie pojechała na kongres. Ominęło ją coś co chyba było jedną z najbardziej makabrycznych okazji w dziejach.

Zagajenie kongresu wygłosił dr. Husak, rosyjski generał-gubernator Czechosłowacji, w obecności przedstawiciela zaborczego mocarstwa, p. Breżniewa. Prawda, że historia nie zna wypadku, aby wicekról zelżył swego monarchę na otwarciu *d u r b a r u*, i trudno by żądać od p. Husaka, nawet gdyby sam był do tego skłonny, aby krytykował tych, których łasce, a raczej bagnetom i czołgom, zawdzięcza swoją posadę i swoje życie.

Niemniej jednak, w przemówieniu jego znalazły się ustępy tak obłąkane, tak żalosne i w swych powikłaniach tak rozpaczliwe, że mówca zdał się minąć i rozstać nie tylko z całym czeskosłowackim ludem, ale z samą rasą ludzką. Gorąco wychwalał Breżniewa i dziękował mu za inwazję. „Nasi sojusznicy, powiedział, zrozumieli lęk czeskich komunistów i robociarzy błagających o pomoc. Chcę podziękować naszym socjalistycznym aliantom za pomoc, której nam nie odmówili“. I dalej: „W imieniu naszej Partii i przytłaczającej większości naszego pracującego ludu, wyrażamy serdeczne podziękowania Partii Sowieckiej, Sowieckiemu Rządowi i całkiem szczególnie, wam, towarzyszu Breżniew!“

Co to jest, co umie uczynić z człowieka — wszystko jedno jakiego człowieka — kłamcę na taką skalę, kłamcę wiedzącego przecie, że każdy

jego słuchacz i widz w telewizji, każdy czytelnik w gazecie, każdy bez jednego wyjątku, przejrzy kłamstwo jego słów? Z pewnością, gdyby taki Husak dważył się napomknąć o tym jak było naprawdę, Rosjanie wyrzuciliby go od razu i na jego miejsce wyznacziliby innego prokonsula, może i spotkałby go koniec gorszy niż samo wyrzucenie, bo ironią losu, p. Husak jest dziś w słabszej pozycji niż p. Dubczek. Dubczekowi, na razie przynajmniej, nie grozi proces pokazowy, bo nie można nie brać pod uwagę, że taki proces mógłby rozpętać krwawą burzę w okupowanej Czechosłowacji.

Ale istota tych kłamstw nie w tym tylko, że były kłamstwami, ale że były kłamstwami niepotrzebnymi i wyraźnie, w ogromnym stopniu, były kontr-skuteczne. Nie musiał Husak sam siebie wystawiać na nienawiść całego narodu, nie musiał wystawić Rosji na nienawiść jeszcze większą, niż się ku niej obraca. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę jeden aspekt czeskiej reakcji na tę inwazję, identyczny z reakcją narodu węgierskiego w roku 1956. W obu wypadkach okazało się jasne i oczywiste, że cały naród i tu i tam był zjednoczony w swych wysiłkach zrzućcia zaborczego jarzma i wyrzucenia zaborczych wojsk.

Wśród 10 milionów Węgrów i 14 milionów Czechów, ci co byli po stronie rosyjskich najeźdźców, liczyli się ledwie na setki i w obu wypadkach, choć musiano pogodzić się z ponowną utratą niezależności i stłumić w sobie bunt aż do nadejścia nowej okazji — nienawiść do rosyjskich wrogów może tylko pogłębiać się z czasem i przybierać na sile. Jakaż tedy może być, jaka musi być reakcja Czechów, gdy słyszą, jak Husak publicznie stwierdza, że to oni prosili Rosję o dokonanie inwazji, że są za nią wdzięczni? Gdy mówi tak ten sam Husak, który w dniach inwazji pomstował na nią i przygwałdział jej kłamstwa? Jakaż może być reakcja inna, niż jeszcze większe wzburzenie nienawiści, jeszcze większa pogarda dla marionetkowego rządu, jeszcze większa nienawiść do tych co marionetkami ruszają?

(Dokończenie na str. 31)

MICHAŁ WYRWICZ

KATYŃ W OCZACH ROSJANINA

SOWIETY od czasu uchwycenia władzy w swoje ręce dopuściły się w stosunku do Polski bardzo wielu zbrodni, a wśród nich, żeby wymienić tylko główne: 1. Najazd na Polskę w 1920 roku, aby „po trupie Polski“ zanieść i rozniecić czerwoną zarazę w Europie, w czym bardzo czynnie czerwonomu imperializmowi pomagali ze wszech sił polscy komuniści. 2. Zawarcie z Hitlerem paktu IV-go rozbioru Polski. 3. Zadanie nam ciosu w plecy w dniu 17-go września 1939 roku, mimo podpisanego między Polską i Sowiecami w roku 1934 traktatu o nieagresji. 4. Deportacja dwóch milionów Polaków do łagrów sowieckich, w których głównie dzieci, kobiet i starszych utraciło życie około 400.000 osób. 5. Rzeź 15.000 oficerów i intelektualistów polskich, w tym 4.300 w Katyniu w roku 1940. 6. Zatrzymanie ofensywy wojsk sowieckich w rejonie Warszawy i dopuszczenie do jej zupełnego zniszczenia po wybuchu powstania. Tutaj sojusz sowiecko-niemiecki raz jeszcze zagrał w całej pełni. Stalin zdawał sobie sprawę z głębokiego patriotyzmu Polaków i z ich gotowości poświęcenia życia za wolność. Miał swoje zaborcze plany w stosunku do Polski i wiedział, że w żywej Warszawie jego plany napotkają na wielkie trudności. Celem zrealizowania swoich imperialistycznych planów trzeba było Warszawę zamienić w gruzy. Tę usługę Stalinowi oddały Niemcy Hitlera. 7. Narzucenie Polsce rządu, który za pierwsze i najważniejsze zadanie uznał konieczność dalszego mordowania elementów patriotycznych w piwnicach UB pod kierownictwem osławionego gen. Sierowa, głównego organizatora deportacji Polaków do obozów śmierci na wiosnę 1940 roku. 8. Kolonialna eksploatacja Polski pod względem gospodarczym, trwająca już 26 lat. Lista ta bynajmniej nie wyczerpuje wszystkich zbrodni sowieckich, popełnionych na żywym ciele Polski. W tym artykule pragnę omówić jedną z najbardziej odrażających zbrodni so-

wieckich, a mianowicie zbrodnię katyńską, która tkwi w postaci krwawej rany w sercu każdego Polaka bez względu na miejsce zamieszkania.

Ja i moi koledzy z 1 Dywizji Grenadierów, którzy po klęsce Francji w 1940 roku dostali do niewoli niemieckiej, stale byliśmy zarzucani propagandową bibułą największego łgarza ówczesnej epoki, Goebbelsa. Bibuła ta nie robiła na nas najmniejszego wrażenia. Ale, gdy w roku 1943 zarzucono nas masą wstrząsających dokumentów w sprawie zbrodni katyńskiej, to po ich dokładnym przestudiowaniu nie mieliśmy cienia wątpliwości, że tej ścinającej krew w żyłach zbrodni dopuściły się Sowiety. Zdawaliśmy sobie sprawę z faktu, że Niemcy ujawniły tę bez precedensu w dziejach wojen zbrodnię nie z miłości do Polaków, w stosunku których zarówno w czasie, jak i po wydaniu dokumentów, mordowali w równie okrutny sposób, lecz zrobili to dla celów propagandowych. Zbrodnia ta miała tak potworne rozmiary, że nie mogła być dokonana bez wiedzy i aprobaty Stalina. Przypomnijmy w tym miejscu, że w procesie norymberskim przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim naczelny prokurator sowiecki, gen. Rudenko, usiłował obciążyć zbrodnię katyńską hitlerowców, ale następnie pod naciskiem dowodów, musiał to oskarżenie wycofać. Już tylko ten fakt dowodzi, że zbrodni katyńskiej dopuściły się Sowiety.

Czytelnicy „Orła Białego“ bardzo dużo słyszeli, czytali i w telewizji angielskiej widzieli tyle szczegółów o tej ponurej sprawie, że nie wracałbym do tego zagadnienia, gdyby nie istniał specjalny powód, który nakłada na mnie obowiązek zabrania głosu w tej sprawie. Tym powodem jest moja rozmowa z b. pułkownikiem armii sowieckiej, który przez cały czas wojny sowiecko-niemieckiej był w sztabie Rokossowskiego.

Poznałem go przeszło trzy lata temu zupełnie przypadkowo w miejsco-

wym „pubie“. Tego wieczoru jedynym wolnym miejscem w całym barze był fotel przy moim stoliku. W pewnym momencie miejsce to zajęł dość wysoki, szczupły, elegancko ubrany mężczyzna. Ponieważ należę do ludzi komunikatywnych i lubię zawierać przygodne znajomości, tedy w podobnych wypadkach inicjuję rozmowę. Toteż i w tym wypadku kiwnąłem głową w stronę mego sąsiada, powiedziałem mu „dobry wieczór“, na co otrzymałem uprzejmą odpowiedź i zwyczajem angielskim nasza rozmowa zaczęła się od pogody. Już po kilku słowach mego sąsiada zorientowałem się, że mam do czynienia z jakimś cudzoziemcem. Decyduję się na pytanie: „Przepraszam pana za moją ciekawość, ale czy mógłby mi pan powiedzieć, jakiej Pan jest narodowości?“ — „Jestem Rosjaninem“ — padła odpowiedź. Ja od ósmego roku życia noszę w sobie głęboko wbitą drzazgę antyrosyjską z dwóch powodów: 1. od żandarmów rosyjskich dostałem solidne lanie, gdy mnie przychwycili z albumem królów polskich Matejki, przemycnym z Krakowa przez mego wuja, zaś w „Gorodzkom Prychodzkom Naczalnom Uczyliszcze“ dostawałem lanie brzoźowym kijem od nauczyciela Kozłowskiego, gdy z okazji „galówek“ klasa śpiewała „Boże caria chrań“, podczas gdy ja miałem usta zasznurowane. W ten oto sposób żandarmi rosyjscy i Kozłowski „ustawili“ mnie do Rosji na resztę życia. Toteż, gdy b. pułkownik sowiecki oznajmił, że jest Rosjaninem, najeżyłem się i dość ironicznie powiedziałem: „No to tak my pobratymcy, potomu czto ja Polak“. Rosjanin zerwał się na równe nogi, wyciągnął dłoń i potrzasał moją ręką z taką miłą i z taką serdecznością, jakby spotkał długo niewidzianego przyjaciela. Rzucam następne pytanie: „Jak Pan dostał się do Anglii?“ — „Po zakończeniu wojny zostałem w sztabie d-twa wojsk sowieckich w Berlinie. Pozwolono nam na sprowadzenie rodzin. Skorzystałem z tego, aby sprowadzić z Moskwy żonę

i dwoje dzieci. Czyniąc to, miałem już opracowany plan i zdecydowaną wolę zerwania z komunizmem raz na zawsze. Postanowiłem zdezerterować z armii sowieckiej i pójść na Zachód na złe i na dobre. W trzy tygodnie po przybyciu żony i dzieci wybraliśmy się do Berlina zachodniego pod pretekstem zrobienia drobnych zakupów. To miało miejsce w 1946 roku, kiedy jeszcze istniała względna swoboda ruchów. Zamiast robić zakupy, udaliśmy się do brytyjskiej Komendy miasta, gdzie z miejsca pokazałem moją legitymację oficerską i oświadczyłem, że nie chcę wracać do swoich ze względów politycznych i prosiłem o pomoc i umożliwienie mi pozostania na Zachodzie. Oczywiście, kontrwywiad angielski badał mnie bardzo skrupulatnie z obawy, że mogłem przecież być podrzuconym szpiegiem sowieckim. Ale wszystko poszło dobrze i zostaliśmy umieszczeni w obozie dla uchodźców, a w roku 1948 przybyliśmy do Anglii — zakończył swoją relację b. sowiecki pułkownik.

Fakt, że ów pułkownik był w sztabie Rokossowskiego postanowiłem wykorzystać celem uzyskania informacji na temat wojny sowiecko-niemieckiej i związanych z nią spraw polskich. Jednakże nie od razu przystąpiłem do indagacji. Chciałem, aby najpierw oswoił się ze mną, zanim zaczę go „maglować“. Wreszcie, po kilku spotkaniach doszedłem do przekonania, że wprawdzie mam do czynienia z prawdziwym antykomunistą, ale jednocześnie nacjonal-imperialistą, bo takie kraje, jak Ukraina, Białoruś, państwa bałtyckie itp. od dawna należały do „ruszkiej imperii“, wobec tego powinny doń należeć. Przy innej okazji postawiłem mu kilka pytań na temat Powstania Warszawskiego. Ponieważ temat ten z punktu widzenia historycznego został wyczerpująco opracowany i dobrze jest znany Czytelnikom, tedy ograniczę się do przytoczenia jedynie kilku stwierdzeń mego rozmówcy: 1. Operacje ofensywne w rejonie Warszawy zostały wstrzymane na osobisty rozkaz Stalina, co z punktu widzenia wojskowego było szaleństwem, zaś z punktu humanitarnego jeszcze jedną zbrodnią Stalina, któremu zniszczenie Warszawy szło na rękę. 2. Oficera

łącznikowego gen. Bora-Komorowskiego Rokossowski nie przyjął i nie chciał z nim rozmawiać. Po wynurzeniach b. sztabowca Rokossowskiego zapanowało milczenie. Mój rozmówca spuścił głowę i na chwilę zadumał się, a następnie szybko dopił swoje piwo, powiedział mi „do swidania“ i wyszedł z baru. Przy następnych spotkaniach już nie wracałem do tego tematu.

Przyszedł kwiecień 1971 roku. W Londynie wrzało, zwłaszcza w środowisku polskim. Przyczyną tego wszemienia była nie tylko 31-sza rocznica haniebnego mordu katyńskiego, ale również ukazanie się książki w języku angielskim Louisa FitzGibbona: „Katyń — zbrodnia bez precedensu“, liczna korespondencja w dziennikach angielskich i wreszcie film dokumentalny, wyświetlony przez telewizję B.B.C. Jeśli o tym wspominam, to dlatego, aby nawiązać do mojej rozmowy na ten temat ze wspomnianym uprzednio b. pułkownikiem sowieckim. Nie widziałem go od przeszło dwóch miesięcy i czasami zastanawiałem się nad pytaniem, co się z nim stało. Aż wreszcie pewnego dnia zjawił się znowu, jak się okazało po poważnej operacji i dłuższym pobycie w szpitalu. Z początku mówiliśmy o drobiazgach bez znaczenia. W pewnym momencie pytam się: widział Pan film o Katyniu? — „Da koniecznie widzieć. W szpitalu. Tam również przeczytałem książkę „Katyń — Crime without parallel“ i liczne listy czytelników, jakie zostały opublikowane w prasie angielskiej“ — odpowiedział. Decyduję się na postawienie mu drażliwego pytania jako dla Rosjanina: Panie pułkowniku. Niech Pan mi powie szczerze i uczciwie, kto, pańskim zdaniem, dopuścił się tej zbrodni? Pułkownik opuścił głowę. Zdawało mi się, że chce ją wcisnąć między ramiona. Po chwili milczenia wyprostował się, spojrzał mi śmiało w oczy i odpowiedział: „No koniecznie eto my zdiełali. To znaczy NKWD, a to z kolei oznacza Stalina, Berię, Abakumowa, Sierowa i dziesiątki tysięcy tej okrutnej i zdegenerowanej instytucji, która jest dominującym elementem w Sowietach“. Na jakiej podstawie Pan to twierdzi? — rzucam następne pytanie. A

oto w streszczeniu opowiadanie b. sowieckiego pułkownika. Jak panu zapewne wiadomo, po zajęciu tych terenów przez wojska sowieckie, Stalin pośpiesznie wysłał specjalną komisję, złożoną z posłusznych aparatczyków z lekarzami NKWD włącznie i uległego Archireja. Sztab naszej armii znajdował się wtedy w pobliżu Katynia. Ja zostałem wysłany, jako przedstawiciel armii, aby wziąć udział w pracach owej komisji. Z kilku czaszek pomordowanych ofiar wyciągnięto kule rewolwerowe, które były niewątpliwie produkcją niemieckiej. To było jedyną podstawą do obciążenia Niemiec zbrodnią katyńską i podpisania w tym sensie odpowiedniego protokołu. Nie należy jednakże zapominać o fakcie, że od szeregu lat otrzymywaliśmy od Niemiec zarówno broń, jak i amunicję wszelkiego kalibru, co dla mnie, jako oficera zawodowego, nie było żadną tajemnicą. Po podpisaniu protokołu, zwalającego winę za tę zbrodnię na Niemcy, zacząłem przeprowadzać swoje własne badania. Chodziłem między szeregami ekshumowanych ofiar i bacznie przyglądałem się najdrobniejszym szczegółom. Wie Pan, że każdy młody podporucznik, zanim zda raport wyższemu d-cy, dokonuje przeglądu kompanii i to wchodzi mu niejako w krew. Przygląda się bacznie umundurowaniu, butom itp. drobiazgom. Ja tego dokonałem w Katyniu. Dokonałem dokładnego przeglądu i stwierdziłem, co następuje: olbrzymia większość oficerów została pochowana w płaszczach, gdyż wiosna 1940 roku była późna i zimna. A więc wniosek, który nasuwał się sam przez się: ci oficerowie byli mordowani w umundurowaniu, jakie w chwili tej kaźni mieli na sobie... Mieli powiązane ręce z tyłu, czego Niemcy przy rozstrzeliwaniu nigdy nie robili. Co było istotnym dla mnie faktem, to ta okoliczność, że obuwie pomordowanych było w wyjątkowo dobrym stanie. A to dowodziło, że w niewoli przebywali oni krótko. Ten fakt rozproszył wszystkie moje wątpliwości odnośnie sprawców zbrodni. Ale na stwierdzeniu tego faktu nie zaprzestałem swoich prywatnych dociekań. Tu muszę zaznaczyć, że w strefie przyfrontowej oficerowie sztabu mieli dużą swobodę

„NIEUTULONA W ŻALU“

ŚWIAT się zmienia i przekształca. Tradycje w łeb biorą. Obyczaje i przyzwyczajenia reformują kaktlizmy dziejowe i zdobycze techniczne. Reakcje ludzkie też ulegają przeobrażeniom. Pamięć ma tę magiczną właściwość, że nawet ze złych przeżyć umie wytworzyć miłe wspomnienia, wrywając gorzki fakt z realnego związku, odbierając mu jego gorycz.

Taki, na przykład, pogrzeb przed pierwszą wojną w Warszawie. Jakże wypłowiło i zbadło nasze cierpienie, a pozostało tylko wyobrażenie, które przekształciliśmy swobodnie, idealizując ludzi, zwyczaję, tamte czasy. Z daleka od „tamtej“ Warszawy, przenosimy się do niej wyobraźnią. Wszystko w niej było piękne, miłe i inne niż teraz.

Ale po chwili rozsądnego zastanowienia, przypominam sobie, że jednak ... ani ludzie nie byli tak bez skazy, ani zwyczaję takie piękne, ani uczucia takie stałe: I co tu tać, pod

pięknymi pozorami kryło się wiele małostkowości, śmieszności i snobizmu. Ileż, na przykład, tych śmieszności wiązało się z przedwojenną ceremonią pogrzebową?

Zacznijmy od nekrologów w „Kurierku Warszawskim“. Rodowity warszawiak, wedle Perzyńskiego, uważałby że świat się wali, gdyby do pierwszego śniadania nie podano mu (obok świeżych, chrupiących „kajzerek“) — mokrego jeszcze od farby drukarskiej „Kuriera“ z szeregiem nekrologów. Ludzie wtedy umierali tylko w „Kurierze“. Ci, którzy umierali poza „Kurierem“ i nie byli chowani na cmentarzu Powązkowskim — nie liczyli się. Cmentarz Bródzieński deklasował nieboszczyka. Tam, na Bródnie odbywał się kiepski teatr pelen szlochów i krzyku. Na Powązkach zaś prawdziwy, ludzki dramat osłaniały kiry i opuszczone na twarze krepowe welony.

Kapelusz żałobny musiał być w „dobrym guście“. Więc „nieutulona

w żalu wdowa“ przejrzała dziesiątki żałobnych budek, toczków, „tricornów“, turbanów, kloszy i filców „à la bolero“ w firmie „Nathalie—Aline“ na Marszałkowskiej, zanim zdecydowała się na „fason“. Owa firma wyspecjalizowała się wyłącznie w kapeluszach żałobnych i można było być pewną, że kreacje jej modystki stworzą arcydzieło z koralu i krepy.

Smutek jednych klientek, odgrywany sztucznie, kontrastował nieraz z prawdziwą i głęboką rozpaczą innych, które w lustro patrzyły pustymi oczami. Tym chodziło przede wszystkim o czarny, krepowy welon, który osłoniłby twarz przed ludzką ciekawością.

„Nieutulona w żalu“ wdowa jakże często po roku żałoby (naszytej krepą 2-krotnie w dole sukni) — zmieniała się w wesołą wdówkę, którą na scenie warszawskiej operetki tak zachwycająco kreowała Kawecka.

Pogrzeby, poprzedzone były przez „wyprowadzenie“ z domu żałoby i msze żałobne w dolnym albo górnym kościele. Po czym ruszał kondukt pogrzebowy prowadzony przez duchowieństwo w białych komżach, przy biciu dzwonów. Cztery konie okryte czarnymi czaprakami wiozły karawan z trumną okrytą wieńcami.

Ilość duchowieństwa, ilość wieńców oraz jadących za orszakiem karet — decydowała o piękności pogrzebu. Liczono wieńce, odczytywano napisy na szarfach, umiano to ocenić.

Życie jedno zamknęło się i dopełniło. A ci najbliżsi, co tak idą za trumną przez Krakowskie, Wierzbową na Plac Teatralny — zrozumieć nie mogą, że „jego“ już nie będzie. Że to już wszystko. A świat mimo to się nie wali.

Nieutulona w żalu rodzina myśli, myśli o zmarłym, że jeszcze tak niedawno żył, rozmawiał z nimi, grzeszył, był jak oni. A dziś, kiedy odszedł w zaświaty, stał się ważny. Dostojny. I oni przy nim czują swoją nicość.

Na placu Teatralnym już ktoś z przyjaciół i życzliwych boczkiem,

ROSJANIN O KATYNIU

poruszania się. Korzystając z okoliczności, wsiałem do samochodu i zacząłem objeżdżać oraz indagować okolicznych chłopów. Od nich dowiedziałem się, że już w końcu lutego 1940 roku NKWD przywoziło oficerów polskich do Katynia w grupach, liczących między 80 a 100 osób. Na moje pytanie, czy cofające wojska sowieckie zabrały ze sobą jeńców polskich, odpowiedź była negatywna. A może po prostu zostawili ich na miejscu? — rzuciłem pytanie. Nie, nikogo nie zostawili. To co się z nimi stało? — rzucam następne pytanie. Odpowiedzi nie było. Chłop patrzył w ziemię i milczał. Po tym opowiadaniu pociągnął duży haust piwa i opuszczył głowę w dół.

Panie Pułkowniku, czy mógłby Pan coś na ten temat napisać? — rzuciłem pytanie. Zapadło milczenie, ale za chwilę słyszę taką odpowiedź: „Niet, towo ja zdiełat“ nie mogu. Pan doskonale wie, jak dużo enkawudzystów siedzi w ambasadzie sowieckiej w Londynie. A mają oni długie

ręce i do brudnej roboty są przyzwyczajeni. I potrafią ją robić“. Nie nalegałem więcej, zdając sobie sprawę, że to byłoby bezowocne. Przed wyjściem z baru b. pułkownik sowiecki powiedział: „Panie kapitanie! W imieniu własnym i nas wszystkich składam na ręce Pana wyrazy ubolewania z racji tej strasznej zbrodni, która raz jeszcze zbrukała sumienie rosyjskie“ Przy pożegnaniu po raz pierwszy wstałem i nieco uchyliłem głowę, pierwszy raz w moim życiu przed Moskałem.

Dowiaduję się, że w roku ubiegłym mała grupa studentów warszawskich przyjmowała prywatnie kilku studentów moskiewskich, którzy dużo mówili na temat wspólnoty interesów bratnich narodów, konieczności przyjaźni i sojuszu itp., historii, na co jeden ze studentów polskich odpowiedział; „Wspólnota, przyjaźń, sojusz, to są piękne słowa, z którymi zresztą my Polacy na ogół zgadzamy się. Ale Katynia, to wam nie zapomnimy“.

Michał Wyrwicz

boczkiem, dyskretnie i nieznacznie wycofuje się z jezdni na chodnik, aby skręcić w bok i wskoczyć do tramwaju. Płacąc za bilet 10 kopiejek, wraca do zwykłego życia. Jakże jest do niego przywiązany. Z jakąż rozkoszą odrzuca od siebie myśl o śmierci.

Ludzka pamięć nie sięga nawet ponad kilka godzin. Ludzka żałoba nie wytrzymuje dłużej jak do placu Muranowskiego. Coraz to ktoś z krewnych i przyjaciół wycofuje się z konduktu i wraca do karety. Trzaskają zamykane drzwiczki, uchyla się w ukłonie kark wynajętego lokaja. Obaj ze stangretem na koźle noszą przepisowe cylindry.

Dochodząc pod mur cmentarny już tylko garstka osób pozostaje. Cóż dopiero mówić o latach? Kto jeszcze pamięta człowieka, który kiedyś tam w Warszawie żył, kochał i starał się innych ludzi zrozumieć?

Mówimy o nim, że należał do „belle époque“. Przecież ma swój grób na Powązkach, za trzecią bramą, tuż obok grobu Krausharów i może nawet obok płyty i krzyża różowe hortensje kwitną (o ile nie uschły i nie wymarły). Mówimy o nim, że szczęśliwie nie doczekał wojny. Nie spalono go w krematorium obozu koncentracyjnego. Nie rozstrzelano. Nie pochowano w Katyńskim grobie czy pod powstaniową płytą chodnika. Szczęśliwy.

Pogrzeby mają zawsze barwę ponurą. Ale zależnie od czasu i szerokości geograficznej nabierają „couleur du temps“. W Argentynie, gdzie mieszkam, jest zwyczaj czuwania przy nieboszczyku przez całą noc. Nazywa się to „Velorio“.

O trzeciej godzinie ranej, człowiek skłonny jest do pesymizmu. Miał dosyć czasu w samotnym kącie poznać własną nicość i zastanowić się nad przelotnym pięknem i grozą tego człowieka, który leżał tam w trumnie.

Ogromny salon o wielu drzwiach i oknach, oświetlały świece. Wielki, ciężki krzyż czerniał nad otwartą trumną. Pachniało gorzko wędzącymi chryzantemami i topniejącym woskiem. Ktoś układał kwiaty. Koło trumny stała tylko ona. Po kątach snuły się mroczne cienie pojedynczo

i grupkami. Czy kto myślał, że przed duszą człowieka leżącego w trumnie rozchyła się ostatnia zasłona? Miałam ochotę powiedzieć za Lechoniem:

„I wiem, że tam był Pan Bóg, choć go nie widziałem“.

Koło trumny wciąż stała Antonia. Prześliczna, spłakana, nieprzytomna, nie mogąca zrozumieć spraw nieodwołalnych i beznadziejnych. Jeszcze tydzień temu widziałam, jak z głową opartą na jego ramieniu słuchała, rozmarzona starych piosenek Mombruna-Ocampo; jak przed rokiem pokazywali mi oboje, jak się tańczy tango (to dawne, uroczyste tango ich młodych lat).

Mieli już maleńkie wnuki, które czepiały się wiewającej sukni roztańczonej babci. Jak prześlicznie byli zgrani w każdym posunięciu. Jej fineryjne nóżki migwały w półobrotach. On w każdej chwili znajdował się tam, gdzie być powinien, aby ją odnaleźć i uchwycić.

I naraz wczoraj ten człowiek zniechęcił. Zamarł. Zamilkł. A teraz? Do skrzynki, okutej srebrem, raz po raz wrzucano bilety wizytowe. Szum wentylatora mieszał się ze szmerem wrzucanych kartek.

Po kątach coś sobie opowiadano. Załatwiano jakieś sprawy. Ktoś nawet, odwrócony od trumny szeptął rozbawionym głosem. Co pewien czas przy drzwiach następowało ożywienie. I jakaś ciotka szła witać arcybiskupa, gubernatora, czy dowódcę artylerii górskiej. W sąsiednich pokojach przesuwały się senne sylwetki z miejsca na miejsce, z fotela na kanapę.

Zbliżyłam się do Valentyny. Czy chce abym ją objęła? Aby się wypłakała w moich ramionach? Och, każda kosteczka się w niej trzęsła od rozpaczki. Wyprowadziłam ją do patia. Zamykał je czworobok ciężkich ścian z szeregiem okratowanych okien. Pachniało skoszoną trawą, wilgocią i świeżością. Daktylowa palma ciemniała na rozgwieżdżonym niebie. Jacyś ludzie zawieszali i ustawiali pod ścianami wieńce, krzyże oplecione kwiatami, wiązki.

Ktoś się zbliżył. Musiała wysłuchać wypowiedzianych kondolencji. W tej chwili pokojówki dały znać, że w „comedor“ podano wino i „empa-

nadosy“*). Jednym słowem, stypa. Poza nami rozległ się szmer aprobaty. Opustoszało.

Objęłam ją wpół. Należała do tych „nieutulonych w żalu“. Niechże się wypłacze — myślałam. Szlochała. Wiedziała przecież, że ją zdradzał. Przyznawał się do wszystkiego. Był pewny, że będzie mądra i że go zrozumie. Nie była mądra. Nie mogła zrozumieć. Ale go kochała. I on ją kochał. I dawał jej takie szczęście, które z każdym rokiem wzrastało.

Drżała w moich ramionach jak małe, spłakane dziecko, które strasznie skrzywdzili. Nie znajdowałam słów, milczałam. A po głowie latało mi rostandowskie powiedzenie: „W większości dzisiejszych małżeństw, mężczyzna przecenia inteligencję kobiety, a niedocenia jej wrażliwość“ (nieutulonej w żalu).

Janina Surynowa-Wyczółkowska

*) Pierogi z mięsem i oliwkami.

LOUIS FITZGIBBON

KATYN

A CRIME WITHOUT PARALLEL

The most definite book ever published about the massacre of over 14.500 Polish officer prisoners-of-war by the NKVD in the Spring of 1940.

50 illustrations — Price: £3.00

TOM STACEY LTD.

LONDON, 1971

THE POLISH TRUSTEE ASSOCIATION LTD

(Polskie Stowarzyszenie Powiernicze)

sporządza testamenty, likwiduje spadki, uzyskuje i przekazuje renty do Polski.

20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

Tel.: 584 0747

KONFORMIZM I MIŁOŚĆ *)

A TERAZ znowu jest w Łodzi. Sprzedaje w bramie na ulicy Piotrkowskiej kwiaty. Jak to: sprzedaje kwiaty? Dlaczego?

Piękne nogi ma ta dziewczyna. Jakże jej było na imię? Nie pamięta. Ale widzi te nogi tak wyraźnie, jakby należały do dziewczyny w mini-spódniczce, która siedzi przy pobliskim stoliku, pali papierosa i uśmiecha się do Andrzeja niczym do dobrego znajomego. Może zresztą i zna go w istocie. Ale to jest nieważne. Widzi zatem długie, obnażone nogi tamtej dziewczyny i nic więcej, bo podpatruje ją z sąsiedniego pokoju, przez szparę uchylonych drzwi. Dziewczyna siedzi na kanapie, odchyłona do tyłu, z nogami wysuniętymi przed siebie. On nie ma odwagi wejść do pokoju, ze swego ukrycia może dostrzec tylko te nogi, ale to mu wystarcza. Pochłania je chciwie oczyma i wsysa w całego siebie. Nigdy jeszcze nie miał kobiety, ale już wiele razy się kochał. Teraz kocha się właśnie w tej dziewczynie, jakiejś krewnej czy powinowatej pani Orzechowskiej, która zaprosiła ją na ferie wielkanocne do Kobanówka. Ale dla niego nie ma ferii, choć dziewczyna ma takie długie nogi i jasne, faliste włosy (to również pamięta), a w całym dworze pachnie świątecznym ciastem. Nie chodzi mu tyle o ciasto, ile o sam zapach świąt. Nie jest już dzieckiem, skończył osiemnaście lat, to jego pierwsza posada. Właśnie dlatego nie może użyć ferii: Mietek złapał na okres dwóję z łaciny, a Heniek z matematyki. Mietek to jego średni uczeń, Heniek — najstarszy. Jest tylko o dwa lata młodszy od niego, Andrzeja, który przecież dopiero ubiegłej wiosny otrzymał maturę. Państwo Orzechowscy mają jeszcze trzeciego syna — najmłodszego: Leszka, ale z nim nie ma kłopotów, ten uczy się dobrze. Za to Mietka i Heńka „należy w czasie ferii

podciągnąć“. Takie polecenie otrzymał od pana Orzechowskiego (jemu wolno go tak nazywać, dla innych jest „panem dziedzicem“, a dla jeszcze innych „jaśnie panem“ choć w ten sposób — trzeba to przyznać — zwracają się do niego już tylko starsi fornale). Sam zresztą wiedziałby, co trzeba robić: nie darmo jest tu na kondycji i zna swoje obowiązki. Łacina głupstwo, ale z matematyką zawsze był na bakier: trzeba się przygotować. Odrywa się od nagich nóg i od szpary w drzwiach i wlecze się do swojego pokoiku na górce.

Dwór jest drewniany, modrzewiowy. Tak twierdzi pani Orzechowska, sam by tego nie odgadł. Pani Orzechowska w ogóle jest bardzo polska i bardzo szlachecka. — To już nie to co dawniej — powiada — ale dbamy o tradycje. — Pan Orzechowski się uśmiecha i spogląda z dumą na trzech synów. — Nie bierz ostatniego kawałka z talerza — mówi pani Orzechowska. — To musi zostać dla konwenansu. — Wieczorem, kiedy już wszyscy śpią, gruby Mietek zakrada się do jadalni i wyjada wszystkie resztki z kredensu. Myśli, że go nikt nie widzi, ale jest w błędzie. — Ja wiem, kto to jest konwenans — oświadcza triumfalnie nazajutrz przy śniadaniu mały Leszek. — Konwenans to Mietek.

Konwenans nie był jednak Mietkiem i przetrwał modrzewiowy dworek. — Gdybyście byli ślubnym małżeństwem, to by ojciec dawno już załatwił dla was mieszkanie. A tak — krępuje się, trudno mu się dziwić — powiedziała onegdaj Halszka. — Głupstwa mówisz, mamó — zauważyła Majka spokojnie, ale on bynajmniej nie był tego pewien. Wielkie robociarskie miasto było mrowiskiem plotek i wylęgarnią neomieszczanstwa. — Towarzysz Buzek — skarżyła się Halszka córce nie krępując się jego obecnością — bardzo się tobą martwi: córka towarzysza Szymona, taka zdolna dziewczyna, związała się ze starszym, żonatym człowiekiem. — Dobrze, że nie dodała jeszcze: „chorym“ — pomyślał, ale zacisnął tylko wargi i nic nie powiedział. — Kto to

jest towarzysz Buzek? — zapytał później Majki. — To taki jeden... działacz związkowy, przyjaciel ojca. Nie przejmuj się, bo to stary dureń. A mamie zmyłam głowę. — Wracając jednak do dworku... Zaraz, dlaczego ma wracać do dworku? Po pierwsze dworku, tak jak innych dworków, nie ma i on, Andrzej, ma najmniej powodów, aby tego żałować. Toteż ucieszył się, kiedy przed paru laty, przyjechawszy na grób ojca w którąś tam rocznicę jego śmierci (cyfra była okrągła, ale wolał nie odświeżać jej w pamięci dokładnie), skręcił w drodze do miasteczka z szosy i zobaczył najpierw rozbudowaną i pracującą na pełnych obrotach cegielnię, a za nią straszliwie brudny lecz rojący się od ludzi, maszyn i żywego inwentarza folwark. Folwark był PGR-em — to również mu się podobało — biura zaś PGR-u mieściły się częściowo w modrzewiowym dworku. Niestety tylko częściowo, bo śliczny dworek, opuszczony i nie remontowany, był już w całkowitej niemal ruinie. Skureczył się, a zarazem i opadł ku dołowi rozszerzając się na brzegach, jak gdyby ktoś usiłował go spłaszczyc potężnym uderzeniem pięści. Była to oczywiście karząca pięść sprawiedliwości społecznej. Andrzej nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, patrzył jednak na znajome drewniane kształty ze ściśniętym sercem. Tak więc — po pierwsze dworek, choć może jeszcze fizycznie jest, wyzionął ducha, tak jak uczynili to, już nie w przenośni, oboje państwo Orzechowscy (a i z uczniów Andrzeja żyje, przynajmniej do niedawna żył, tylko Mietek; Heniek poległ w trzydziestym dziewiątym, Leszek w powstaniu). Po drugie zaś sprzedaje w tej chwili kwiaty na Piotrkowskiej, nie go zatem nie obchodzi Kobanówek.

Choć kwiaty — róże i goździki: bardzo piękne, inspektowe — pochodzą przecież z Kobanówka. — Może pan zabierze ze sobą trochę kwiatów? Wezmą to panu chętnie w kwaciarniach, a ja pokryję koszty podróży — zaproponowała mu raz praktyczna dziedziczka, kiedy wybierał się auto-

*) Fragment powieści „Życie bez snów“, (ostatniej części trylogii pt. „Uśmiech archanioła“), która ukaże się niebawem nakładem Gryf Publications Ltd.

sem do Łodzi Zgodził się skwapliwie i odtąd stale już woził kwiaty. Ponieważ zaś z kwiaciarkami bywało różnie (podaż w owych kapitalistycznych czasach uzależniona była od popytu), nauczył się z biegiem czasu sprzedawać je na Piotrkowskiej po bramach: oczywiście nie przechodniom, na to by nie poszedł, ale ulicznym kwiaciarkom. Nie chciał wracać z kwiatami do Kobanówka i przygotować gospodarującą z ołówkiem w rękę i z zatroskaną chwilami twarzą panią Orzechowską o dodatkowe straty. — Gdyby nie cegielnia — mawiała — nie stać nas by było na korepetytora. — Ale cegielnia j e s t — odpowiadała w takich przypadkach pan dziedzic i gromił ją wzrokiem. Jednakże Andrzej czuł wtedy, że się czerwieni (— Niczym Majka w Bułgarii — pomyślał teraz), i kiedy pokojówka pochylała się nad nim z półmiskiem, wybierał najmniejszy kotlecik lub najmizerniej wyglądającą kuropatwę. Było mu tak przykro, że przysparza pani Orzechowskiej kłopotów budżetowych, iż uczucie to dominowało nawet nad upokorzeniem, jakiego doznawał. Jak gdyby mało było tego, że go sadzano, kiedy zjawiali się goście, przy samym końcu stołu: za buchalterem, chociaż przed rzadką. Ale i tak jakiś nerwowy starszeczek, który zajechał rozklekotaną bryczką przed modrzewiowy ganek pewnego zimowego przedpołudnia i został na obiedzie, na kolacji, a nawet na śniadaniu następnego dnia — i tak ten gniewnie i bez przerwy ruszający wąsami starszeczek spoglądał na niego spode łba i jakby mając na myśli, nie wiedzieć czemu, jego więcej niż skromną osobę, gromił współczesną młodzież i zarzucał jej brak wszelkiej oglądy towarzyskiej tudzież lekceważenie szlacheckich, uświęconych „tradycją i krwią powstańców“ (tak właśnie powiedział, choć Andrzej nie mógł zrozumieć, co mają z tym wszystkim wspólnego powstańcy) zwyczajów. — Czekają, aż im starszy człowiek pierwszy wizytę złoży — skarżył się. — Sami nie raczą się pofatygować. — Andrzej jadł i z przyjemnością myślał (o tym, że nazajutrz czeka go podróż do Łodzi. Od czasu kiedy pani Orzechowska odkryła jego talent handlowy, podróże te

stały się znacznie częstsze, a nawet w Kobanówku miał teraz dla siebie i dla swoich bazgroł jak gdyby nieco więcej czasu.

Z kwiatami załatwiał się szybko. Uliczne kwaciarki już go znały i wiedziały, że zawsze ma pierwszorzędny towar. Sprzedawały później jego kwiaty ze stuprocentowym, a jak się poszczęściło, to i większym jeszcze zarobkiem wyelegantowanym facetom, polującym przed Grandem na kobiety. Ładnych łodzianek nie brakło, a niemal wszystkie ubrane były elegancko i bogato. Czasy były inne, a Bałuty daleko. Piotrkowską płynął strumień pieniędzy, luksusowych towarów, żywej rozkoszy na sprzedaż, krociowych zysków i nieograniczonych możliwości. Pałace niemieckich przeważnie lub żydowskich fabrykantów i czynszowe kamienice lśniły czystością, jak gdyby co dzień zmywano z nich sadzę, a nawet parterowe drewniane budy, wciśnięte tu i ówdzie między kamienne, prostokątne pudła a wysokie, żelazne sztachety kryjące za sobą olbrzymie niekiedy, a zawsze pretensjonalne architektoniczne konstrukcje — nawet te budy, obwieszane różnokolorowymi sztyldami i mieniące się w blasku wiosennego słońca, zdawały się uśmiechać do Andrzeja i do jego młodości rozmachem pełnego kontrastów, ale kwitnącego miasta i urokiem długiego jeszcze, nieznanego, czekającego go życia.

Sprzedawszy zatem kwiaty biegł do redakcji. „Sygnał Łódzki“ za felietony nie płacił, ale je drukował. Kiedy Andrzej, nieśmiały, a zarazem płonący z emocji, stawał na progu z rękopisem w rękę (o maszynie do pisania marzył tylko po nocach) — rosły i elegancki redaktor Gajoszewski odsuwał się wraz ze swoim obrotowym krzesłem od biurka i witał go jowialnymi żarcikami. O, właśnie przyszedł ten leciwy, przygarbiony i zasuszony pan, ciągle jeszcze czynny w swym zawodzie: poznał Andrzeja, odklonił się i uśmiechnął. Mój Boże, czyż to możliwe, żeby to był Gajoszewski? No, ale z nim, Andrzejem, zupełnie inna sprawa: jest o dobre dziesięć lat młodszy, a przy tym ma młodziutką zinę.

— Jak się miewa twoja pani? —

zapytał Petruszyński siadając przy stoliku. — Sam dziś jesteś?

— O tej porze ma wykłady. — Nie zauważył nawet, kiedy Pietruszyński wszedł do Klubu. — A przy tym nie zabrałbym jej przecież do Kochaniaka. Jeśli ta wizyta jest w ogóle jeszcze aktualna. Spóźniłeś się.

— Owszem, na spotkanie z tobą, za co cię przepraszam, ale nie z Kochaniakiem. Dzwonił do mnie do redakcji z prośbą, abyśmy przyszli godzinę później, bo mu wypadła jakaś nagła konferencja. Grzeczny facet, nie uważasz? A swoją Majkę możesz śmiało wszędzie zabierać. Córkę towarzysza Szymona zna cała Łódź. To by nam nie zaszkodziło, lecz wręcz przeciwnie: pomogło.

— Wątpię, aby Kochaniak sympatyzował z towarzyszem Szymonem. Z tego, co o nim słyszałem, wynika, że... reprezentuje raczej inny typ działacza. Bardziej... hm... nowoczesnego.

— Cóż chcesz, to przecież młody człowiek... A swoją drogą masz chyba rację: zdaje się, że stary rzeczywiście zalał mu sadła za skórę. Jeszcze w tak zwanym minionym okresie... Ale to było przecież tak dawno. A przy tym dziewczyna jest taka ładna. Wiesz, mój drogi: zazdroszczę ci.

— Jesteś bardzo uprzejmy — rzekł wstrzymieźliwie. — Ale masz czego zazdrościć: moja żona (ostentacyjnie nazywał Majkę żoną) jest istotnie cennym towarzyszem życia. Pod każdym względem. — Irytowało go, kiedy Majkę traktowano jako młode i przyjemne ciało.

— To musi być rozkosz — kochać się z tak młodziutką osobką — ciągnął Pietruszyński jakby na przekór jego myślom. — Lubisz młode kobiety, co?

— Chodźmy — Andrzej wstał. — Chyba już czas.

— Garnę się do młodych kobiet nie dlatego, a w każdym razie nie tylko dlatego, że ich młodość podnieca mnie — tak jak ciebie — seksualnie (spojrzała na idącego obok kolegę: nie mówił tego, ale myślał), lecz dlatego, że odpowiada mi ich świeży stosunek do życia. Starość fizyczna budzi we mnie litość, ale starości psychicznej nienawidzę. A ty, mój kochany (mó-

wił to ciągle tylko w myślach), chociaż taki niby aktywny i zadowolony z siebie i innych, a przy tym parę lat młodszy ode mnie, jesteś psychicznie stary — i w ogóle to jest obrzydliwe, że muszę korzystać z usług takich kotletowiczów jak ty. Bo z ciebie, miły kolego, również typowy kotletowicz. T w ó j stosunek do życia jest całkowicie konsumpcyjny, wszystko jest dla ciebie kotлетem: i twoja praca, i twoje przekonania polityczne, i młode dziewczęta, a nawet twoja żona i dzieci. — Myślał tak, a jednocześnie dawał się Pietruszyńskiemu prowadzić pod rękę i przyjaźnie się do niego uśmiechał.

Towarzysz sekretarz przyjął ich bez zwłoki. Już po kilku minutach Andrzej stwierdził, że opinia działacza partyjnego w nowym stylu, jaką cieszył się Kochaniak, była w pełni usprawiedliwiona. Miał do czynienia z człowiekiem mało wykształconym, ale niewątpliwie zręcznym i trzymającym rękę na pulsie, to znaczy zachowującym się tak, jak tego wymagała aktualna taktyka partii i robiącym właśnie to, czego od niego oczekiwano: nic mniej ani też nic więcej. Oczywiście miał gdzieś wszystkie ideologie — i nawet nie używał partyjnej drętwej mowy. O Andrzej, owszem, słyszał — nie tylko, jak to mimochodem podkreślił, od towarzysza Pietruszyńskiego. Książkę jego również zna, a jakże (— A więc to dlatego Potyłkow ją wydaje — zorientował się) i mimo że zawiera ostre niekiedy akcenty krytyczne w stosunku do niektórych przejawów polskiej rzeczywistości (— Czytał więc jednak, albo przynajmniej przeglądał — zdziwił się po raz drugi), jest jak najbardziej za jej wydaniem. Uważa rzeczową krytykę za zjawisko zdrowe i potrzebne. Czym jeszcze może Andrzejowi służyć? Słyszał, że ma zamiar zadamować się na czas pewien w Łodzi.

Zachęcony gładkością sekretarza i tym, że nie ukrywał nawet, że wie, iż jeśli ktoś do niego przychodzi, to czegoś dla siebie potrzebuje — Andrzej wyjął z kieszeni podanie Majki o mieszkanie. Kochaniak przeczytał je nie drgnąwszy nawet powieką (nazwisko Majki nie było, jak widać, dla niego niespodzianką), bez słowa

coś na nim napisał i położył na biurku. Widząc to Andrzej postanowił być bezczelny. Wydobył drugi papier i nie zwracając uwagi na rozpaczliwe znaki Pietruszyńskiego, również podsunął go Kochaniakowi. Była to jego z kolei prośba o założenie telefonu w przyszłym mieszkaniu: na wpisanie adresu pozostawił wolne miejsce. Sekretarz tym razem trochę się skrzywił, ale po krótkim namyśle zatrzymał i ten arkusik. Potem spojrzął na zegarek i wstał z za biurka. Wszyscy byli, zdaje się, z przebiegu rozmowy zadowoleni. Może towarzysz Kochaniak obawiał się, że Andrzej będzie prosił o rzeczy sprawiające mu większą kłopotu?

— A widzisz, mój kochany, a widzisz? — cieszył się Pietruszyński (— Niezły z niego w gruncie rzeczy chłop — myślał tym razem Andrzej, niewątpliwie w związku z rezultatem wizyty. — Sam jesteś kotletowicz — szepnął mu nagle ktoś do ucha, aż się obejrzał, ale było to oczywiście złudzenie). — Tylko się trzymaj, a nie zginiessz.

Wypadało zaprosić Pietruszyńskiego na obiad. Zadzwoił z Grandu do Majki, oświadczyła jednak, że musi zostać w domu. — Nie mogę — powiedziała tajemniczo. — Jestem zajęta.

— To straszne mieć żonę studentkę — zrzędził, lecz w grucie rzeczy był zadowolony, że nie będzie musiał wysłuchiwać komplementów prawionych Majce przez Pietruszyńskiego.

— A ja załtwiłem mieszkanie. Wiesz, gdzie byłem. Telefon też.

— Nie może być! Bravo! Jesteś nadzwyczajny! — piszczała Majka. — Nie to co tata — stara... — Epitet był najzupełniej niestosowny. — A teraz znów się biorę do roboty — powiedziała uspokoiwszy się. — Smażonego. I wypijcie za moje zdrowie.

Wrócił pod wieczór w różowym humorze. Majkę zastał pochyloną nad rozłożonymi na stole kartkami.

— Cóż to za taka ważna i pilna robota, moja ty socjolożko? — zapytał. — Jakiś referat?

— Przypatrz się temu referatowi uważnie, stary pijaku — powiedziała słodkim głosikiem Majka odrywając się od papierów,

— Moja książka! — zawołał zdumiony, spojrzawszy przez jej ramię.

— A tak, panie redaktorze. To pański maszynopis. Przyniósł go goniec z wydawnictwa, kiedy wychodziłam już na uczelnię. I przez pana tak się cały dzień morduję. Bez popijania wódeczki, szanowny panie. Nie tak jak poniekąd.

— Dlaczego to przysłał? — Wciąż nie jeszcze nie rozumiał.

— Dlaczego? A zechciej spojrzeć, jeśli jesteś na tyle przytomny.

Oczywiście był przytomny. Nie wypił tak znowu dużo (wiedział zresztą, że Majka żartuje). Wziął do ręki luźne kartki i stwierdził, że na każdej z nich widniały liczne skreślenia, dopiski i poprawki, wprowadzone obcą ręką.

— Co to jest? — wyjąkał bezradnie.

— To jest lekcja zwyczajów wydawniczych i tak zwanej polityki kulturalnej, udzielona studentce socjologii, która zakochała się w przedwojennym jeszcze publicyście — odpowiedziała dziewczyna i nagle spoważniała. — Co to jest? — Zwyczajny skandal. Ale ty się oczywiście na to nie zgodzisz, prawda? Jeśli ciebie to za bardzo denerwuje, sama pójdę do tych durni i odwojuję zdanie po zdaniu. A na razie przywracam, jak widzisz, twemu maszynopisowi postać pierwotną. Parę skreśleń zresztą zachowałam, musisz sam zdecydować, bo tu, zdaje się, chodziło o względy polityczne. I jakby to kto inny powykreślał: nie ten kolor tuszu...

— Pewnie ktoś z Komitetu — zauważył ponuro. — Może sam Kochaniak?

— Możliwe — zgodziła się Majka. — Ale stylistyczne poprawki to już sami zrobili, we własnym zakresie. T o b i e poprawiać styl! To niesłychane! — wybuchnęła — Banda nieuków!

— Tę bandę nieuków nazywa się powszechnie adiustatorami — pouczył ją melancholijnie. — Płacą im za to co robią. — Ale masz oczywiście słusność: nie ze mną takie kawały.

Sięgnął po jedną ze stronic — i nagle wesoło się roześmiał. — Nie tylko styl poprawili... Popatrz tylko! To przy końcu, jeszcze chyba do tego miejsca nie doszła. Wskazał jej

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

CO STANOWI o poczytności gazety? „Dobra gazeta“ to określenie równie mgliste jak „smaczna potrawa“ Smaczna dla kogo. Tybetańczycy delektują się herbatą ze zjełczałym masłem, Bawarzy przewracają białkami z zachwytem jedząc niestrawny gniecich zwany „Knoedel“, Szwedzi (bodaj na Nowy Rok) zajadają się masą ubitą z przefermentowanych czyli na wpeł zgnitych śledzi. Osobiście z trojga złego wybrałbym chyba tybetańską herbatę. Lecz najchętniej jadłbym z radosnym chrząkaniem potrawy, które lubię, a które przyprowadzają o mdłości niektórych moich bliźnich.

Podobnie jest z gazetami.

Bo nie to jest dobre co jest dobre tylko to co się komu podoba.

W przeciętnej gazecie przeciętnemu czytelnikowi podoba się niewiele. Jeden kupuje bo lubi „strip-cartoon’y“, inny bo rozwiązuje krzyżówki, jeszcze inny po to by przejrzeć nekrologi. Podobno są i tacy co kupują tę a nie inną gazetę dlatego, że „śledzą“ artykuły wstępne. [Być może — choć po 35 latach pracy dziennikarskiej zaprawdę trudno mi w to uwierzyć.

Pracowałem w różnych pismach. Niektóre nawet „prowadziłem“. A „ocieślałem“ się o prawdziwe mnóstwo. I nie znalazłem recepty na „dobre“ pismo.

„Dobre“ w znaczeniu absolutnym, bezwzględny i niezaprzeczalny.

Ciekawe przy tym, że nikt nie wyceinia „dobroci“ pisma, dopóki ma powodzenie. Wysoki nakład, mnóstwo ogłoszeń, kupę pieniędzy. Póki pismo „idzie“ nikomu w głowie zastanawiać się czy jest „dobre“. Natomiast gdy przestaje „iść“ — rozpoczynają się dociekania analityczne nad jego dobrocią.

PRODUCENCI I SPRZEDAWCY

Walka na noże między „produkcją“ i „sprzedażą“ toczy się w każdym szanującym się przedsiębiorstwie. Technik chce wytwarzać przedmioty doskonałe najmniej się przy tym męcząc. Kupiec chce by dawano mu to co może sprzedać. Była taka książka amerykańskiego pisarza Ewella (zmarł chyba już przed wojną), która „działała“ się w wielkim koncernie przemysłowym a akcja „toczyła“ między „production“, „sales“ i „advertisements“. Znalazłem w niej sentencję na temat prawa popytu i podaży. Bardzo prostą: The client has no brains“.

Kto zapamięta tę zasadę nie może pobiłdzić. Przydało się nawet mnie osobiście. Niestety nie w „karierze“ dziennikarskiej tylko na innym z rozlicznych pól mojej działalności.

Wracajmy do gazet. Była gazeta, co się nazywała „Słowo Polskie“ a wychodziła, o dziwo, w Londynie. W latach 1946/47. Mówiąc ściśle, wychodziła przez miesiąc w roku 1946 i przez bodaj pięć w roku 1947. Potem skończył się kapitał zakładowy, rezerwowy, i jakiś tam jeszcze. I skończyło się „Słowo Polskie“.

Redaktorem był najlepszy z dziennikarzy jakich w życiu znałem, a zarazem jeden z najuczciwszych. Był nim śp. Ludwik Rubel. On redagował — ja (na szczęście nie sam) sprzedawałem, czyli „administrowałem“. Zanim resztki naszego „good-will“u“ kupił wraz z adresami abonentów „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza“, ówczesnie pod zarządem Leszka Kirkiena, Rubel grzmiał na posiedzeniu Rady Nadzorczej: „Nie było takiej gazety, która by zbankrutowała przez redakcję, lecz było wiele, które „padły“ z powodu administracji“. Na co ja z równą dozą słuszności: „Nawet genialny domokrażca nie sprzeda nikomu dziurawych skarpetek“. Aluzja mało wtywna, lecz przecież łatwo zrozumiała.

Oczywiście żaden z nas nie miał racji. Po prostu Polacy w Anglii nie mogli i nie chcieli kupować dwóch gazet. W dodatku kubek w kubek do siebie podobnych. A więc z dwojga złego, prze-

KONFORMIZM I MIŁOŚĆ

palcem zdanie, gdzie wyrażenie „mała kurewka“ poprawione zostało na „zwykła kurwa“.

— Zwariowali! — złościła się Majka. — Dawaj! Natychmiast to wymażę.

— Nie trzeba. Tę jedną poprawkę zostawmy. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Skoro im tak na tym zależy — niech będzie nie „kurewka“, ale „kurwa“.

Tym razem zaśmiała się i Majka. Jej niebieski szlafroczek się rozchylił i Andrzej zobaczył, że nie prócz tego na sobie nie ma. Lubila ostatnio być naga: spała naga, krzątała się nago po ich miniaturowym pokoiku, a nawet, co jej przyganiał, potrafiła tak wyskoczyć na korytarzyk, nie krępując się rodziców.

— Dość na dziś tego dobrego — powiedział. — Chodź.

Wszedł w nią nagle i od razu —

tak jak gdyby był nie starszym, chorym panem, zażywającym przed wysiłkiem pigułki, ale osiemnastoletnim, spragnionym kobiety i nabrzmiałym zdrową spermą młodzieńcem. Wszedł nieco brutalnie, tak, że dziewczyna jęknęła, ale z miejsca się zrobiła gorąca i poddała jego ruchom z zachłanną, pełną radosnego współdziałania uległością. Wysunął ręce spod jej bioder i wsparł się obiema dłońmi o tapczan, pochylił się nad nią nie przerywając aktu. Czuł już zbliżającą się chwilę ekstazy i wiedział, że i ona ją czuje — ale wstrzymał się, chcąc patrzeć dłużej na jej, jak gdyby pęczniejące w jego oczach, a po dawnemu delikatne, złoto-różowe piersi i na przymknięte powieki, które raz po raz rozchylały się pod jego wzrokiem, aby przesłać mu spojrzenie nie zamglone, ale jasne, uśmiechnięte i w bezgranicznym swym, dojrzałym oddaniu dziecięco niewin-

ne. — Jedyna moja — szeptał. — Moja maleńka, ale prawdziwa, najprawdziwsza żono! — Mógł sobie pozwolić na odwiekanie tego co było celem, ale wieńczyło to co dawało nie mniejsze szczęście, gdyż wiedział, że nie zrobi tego przed nim. Rozkosz ich zawsze była jednoczesna i wzajemna, jak nareszcie wzajemne było to, co łączyło go z jego kobietą. Sięgał po tę rozkosz pewnie i radośnie, wstępował na nią jak na strzelisty most przerzucony przez otchłań lat, ludzkiej małości i z tej małości zrodzonych przesądów.

Oddechy ich musiały być coraz głośniejsze, bo ktoś zastukał w szybę od łazienki, a potem głos Halszki zawołał: „Cicho tam, łobuzeria!“ Halszka popełniła niewątpliwy nietakt, ale się tylko do siebie uśmiechnęli, bo się już po wszystkim.

Eugeniusz Żytomirski

praszam, z dwojga dobrego ostał się „Dziennik“ i to ad multos annos, co mu tą drogą jako życzenie ponownie przekazuję.

„ET SUPER NIVEM DEALBATOR...“

Stare dzieje. Rok 1947... Prehistoria prawie. W Polsce trwa, a raczej rozwijał się pierwszy okres gomulkowski. A na emigracji były dwie szkoły myślenia. Jedna, bez względu na „orientację“, „proweniencję“, „afilację“ i „asocjacje“ twierdziła: „najwyżej pięć lat, dziesięć lat“. O co chodziło? Oczywiście o to, że działalność polityczna i kulturalna tej prawdziwej wtedy jeszcze „Polski poza Polską“ nie będzie mogła trwać dłużej niż owe kilka lat.

Stało się inaczej. Dziś polskie gazety, wydawnictwa książek, instytuty naukowe, organizacje społeczne itp. itd. — nie mówiąc już o szkołach sobotnich, harcerstwie i tylu innych inicjatywach — szykują się, każda z osobna a może i wszystkie razem do 25-lecia czy 30-lecia istnienia. I ciągle jeszcze nie jesteśmy „Polonią“ tylko emigracją polityczną.

Cieszyć się nie trzeba, bo emigracja polityczna jest niczym innym tylko przypomnieniem, że w Polsce jest źle. Trochę inaczej niż było — ale przecież źle. Z drugiej natomiast strony, choć nie ma się z czego cieszyć, jest z czego być dumnym. Na emigracji też jest inaczej niż było. Iluż już wymarło! Ale iluż przybyło: urodzonych na emigracji i nowych ludzi, przybyłych w różnych falach z Polski.

Miała więc rację owa „druga szkoła myślenia“, niezbyt wówczas liczna. Wychodziła ona z założenia, że obojętne co się robi, nie należy niczego robić „na niby“ i „do czasu“. Dzięki temu emigracja stała się czymś „solidnym“, zjawiskiem dziś już historycznym. Co działała, na co się przydała? Są o sobie samej nie do mej nędzy. Ktoś go kiedyś wyda i to w sposób bezstronny. Nie wiem jaki będzie, lecz przecież o jednym jestem przeświadczony. Mianowicie o tym, że powiedzą o Polakach na emigracji: ci ludzie nie bali się śmieszności.

„KIEROWNICTWO“

W okresie kilku pierwszych lat po wojnie emigracyjny słownik dziennikarsko-polityczny ukuł określenie „kierownictwo“. A było to tak.

„Cofnięcie uznania“ rządowi polskiemu w Londynie nie obowiązywało rzecz jasna Polaków na emigracji. Mówiło się dalej „rząd polski“ i nie było pomyłki. Bo o „tamtej stronie“ mówiło się i pisało „rząd warszawski“ lub po prostu „reżym“. Ambasada „warszawska“ w

Londynie, na jej czele stał wówczas Michałowski, zalewała Foreign Office protestami. Foreign Office z kolei pisało do redakcji polskich, w których nieodmiennie powtarzał się zwrot „not to embroil HM Government“. A no, byliśmy gazetą polską, ale wydawaną w Anglii i obowiązywać miał protokół „poszanowania zagranicznych głów państwa i zagranicznych władz państwowych“.

Owo „embrojlowanie“ rządu brytyjskiego mogło przy całej tolerancyjności angielskiej pociągnąć za sobą po prostu cofnięcie przydziału papieru, który był wtedy jeszcze racjonowany. Wymyśliłmy wówczas na dusznym strychu naszego biura redakcyjnego na „diamentowym“ Hatton Garden określenie „kierownictwo polityczne“. „Polskie“ w Londynie, no i oczywiście „warszawskie“ w Warszawie.

Chwyliło, przyjęło się i pozostało. A przydało się dodatkowo, gdy zaczęły się „rozłamy“ na emigracji: naprzód po śmierci prezydenta Raczkiewicza a potem po „dokonaniu zjednoczenia“ przez generała Sosnkowskiego. Ale to już inna historia.

„KIEROWNICZA ROLA“

„Kierownictwo“ okazało się świetnym słowem. Gdzieś w latach pięćdziesiątych, o dziwo, zjawilo się także na łamach prasy komunistycznej w Polsce. Oczywiście, w innym kontekście. I tkwi na nich do dzisiaj. Zadanie dla językoznawców: kiedy, jak i dlaczego pomieszało się to wszystko „z kierowniczą rolą partii“.

W PRL, jak wiadomo, jest rząd, ale nie rządzi, jest sejm ale nie ma nie do gadania, jest konstytucja ale nikogo nie obchodzi. Bo jest partia, która ma „rolę kierowniczą“.

Heretycy komunistyczni we Włoszech, na przykład, lub w CSSR za praskiej wiosny — ową „kierowniczą rolę“ chcieliby sprowadzić do „ludzkiego oblicza“, co niestety jest chyba absurdem z samego założenia.

„SPOŁECZEŃSTWO WIARY W SIEBIE“

„Społeczeństwo wiary w siebie musi być społeczeństwem szerzej poinformowanym niż dotychczas“ — czytamy w „Życiu Warszawy“ w artykule dyskusyjnym. Nie wymieniam autorów artykułu, bo są to ludzie tęgiego kalibru i na pewno dobrej woli.

Rzecz polega na tym, że w ramach „pogrudniowych dialogów“ pisze się i mówi o potrzebie naprawy krajowych „środków masowego przekazu“. Naprawa w tym sensie, by jednak radio, telewizja i prasa dawały trochę informacji o tym co się na prawdę dzieje w

Polsce i na świecie. Zbożny cel i tylko mu przyklasnąć. Bo jak czytamy dalej:

„Nie można mówić społeczeństwu: od was teraz zależy przyszłość i nie informować go dokładnie co zamierzamy zrobić“.

Brawo. Wszystko to ma prowadzić do „bezpośredniej demokracji“. Mianowicie dlatego: „że nowoczesne środki masowego przekazu stwarzają nowe możliwości kontaktu wprost, bez pośredników, między władzą najwyższą a całym narodem“. Cóż kiedy „władza najwyższa“ nawet wtedy, gdy wie co chce robić nie zdradza się ze swymi zamiarami przed „nowoczesnymi środkami masowego przekazu“. Społeczeństwo więc dalej nie wie, lub „gorzej, bo gdy gazeta nie napisze, człowiek się dowie pokątnie“.

Pewno z Wolnej Europy.

Czytajmy dalej. Dezyderaty coraz bardziej rewolucyjne. Społeczeństwo należy nie tylko informować, ale chodzi także o prawo obywatela do posiadania i wyrażania własnych poglądów, a także do kwestionowania poglądów oficjalnych“. Brawo, brawo, brawo.

Mało tego: „Trzeba wprowadzić regułę niekaralności pomysłów“.

Ano, trzeba. Dotychczas obowiązuje „karalność pomysłów“, a to źle.

I wreszcie: „Ludzie nie mogą ciągle słyszeć, że są leniwi, jedzą za dużo a państwo ... do nich dokłada. Proszę, proszę. Czymże jest to „państwo“ co dokłada do swych obywateli? „Państwo nie zarobiło ani grosza na podwyżkach cen żywności“ — tłumaczono robotnikom w grudniu. Co za szlachetność, prawie fi antropia owego państwa podanego „kierowniczej roli partii“.

Z tym wszystkim trzeba skończyć. Niech żyje rzetelna informacja, niech żyje „dialog“, niech żyje „niekaralność pomysłów“.

Ale...

Ale: „Zdajemy sobie sprawę, że niezbędne i uzasadnione są pewne ograniczenia. Nie może być dopuszczona krytyka polskich sojuszy i fundamentalnych pryncypiów naszego ustroju. Nie może też mieć żadnych praw podważania jedności narodu ... czy kwestionowanie kierowniczej roli partii“.

Gdy tych kilka szczegółów wyciąży się z zasady swobodnej informacji i dyskusji, wtedy „środki masowego przekazu“ będą mogły pisać i mówić zupełnie swobodnie o wszystkim pozostałym. A więc o imperializmie amerykańskim lub o tym, że w Mszańce Dolnej wychodek znowu nie działa.

* * *

Przepraszam za te „plotki“. Nie zostało mi już miejsca na kulturę kate-

(Dokończenie na str. 28)

E N E I D A

Arma virumque cano (P.M. Vergilius).

KĄŻDY nowy przekład starożytnego klasyka jest ważnym wydarzeniem w świecie naukowym. Bez względu na język, w którym go dokonano. Oznacza bowiem wzbogacenie wiedzy i kultury. Jest zawsze uzupełnieniem i nierzadko odkryciem nowych wartości, czasem zapoznanych piękności. Otwiera drogę do płodnych dyskusji i refleksji nad dotychczasowym stanem posiadania w świetle nowego przyczynku. Nierzadko zmusza do poddania rewizji ustalonych, zdawałoby się, sądów.

W dzisiejszym eseju „opowiem męża“, prof. Ignacego Wieniewskiego i „jego orężne czyny“, dokonane niezmiernym, elastycznym, wspólnie temperowanym piórem. Przełożył swego czasu Iliadę, co zapewni mu trwałą kartę w historii literatury, a wdzięczność wielu polskich filologów. Nie był jednak pionierem na tym polu. Obecnie dokonał rzeczy większej i chwalebniejszej. Wzbogacił naszą literaturę najautentyczniejszym, najdoskonalszym — bo heksametrem — przekładem ENEIDY WERGILIUSZA. Pierwszym tego rodzaju w języku polskim. Hosanna!

Nie piszę panegiriku i nie przemawiam z fotela fachowca. Ale właśnie dlatego, że uważam się jedynie za amatora, za wiecznego studenta, czuję głęboką wdzięczność dla odważnego i pełnego poświęceń uczonego, który swą natchnioną pracą uwolnił mnie i mnie podobnych, od konieczności wstydlwego uciekania się do

łońską, jezioro Titicaca, zatory samochodowe, wakacje. I ani jednego cytatu Calderona! Mogę tylko przeprosić czujnego czytelnika z Forest Hills na 66-tej Avenue w Nowym Jorku, za to, że porucznika Chełmickiego awansowałem przed czasem do stopnia kapitana pod Fuengirolą zmieniając mu przydział z 4 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego na pułk Legii Nadwiślańskiej, co mi się przydarzyło w „plotkach“ styczniowych.

Poza tym życzę wesołych wakacji i jemu i pozostałym czytelnikom.

J.P.H.

obcych tłumaczeń, gdy oryginał narzęca nieprzewyciężone trudności. I nie tylko polscy czytelnicy zyskali nowe źródło wiedzy o starożytnym Rzymie. Każdy Słowianin, każdy slawista, zainteresowany twórczością Wergiliusza, weźmie tę książkę ze czcią i nabożeństwem do ręki. Znajdzie się ona z konieczności i zwyczaju na półkach każdego wydziału filologicznego i podobnych instytucji. Nie ominie też naszych profesorów i studentów w Kraju. Żadna cenzura nie przeszkodzi jej w tym tryumfalnym, zdobywczym pochodzie. Wydawca, który patronował temu zbożnemu dziełu ma wszelkie powody do zadowolenia. Rysunki ozdabiające spełniły chlubnie swoje zadanie. Książka zawędruje pod „strzechy“.

Chodzi bowiem o twór niezwykły, jedyny, trwały, zwycięski. Eneida zajmuje się historią, przeznaczeniem i rolą Rzymu. Obejmuje 12 ksiąg i zdaje sprawę z legendy o założeniu Lavinium przez Trojańczyka Eneasza (EN), który opuścił z rodziną i towarzyszymi palącą się Troję, zgubił po drodze żonę, i dzięki opiece bogów przywędrował do Italii. Opisując przeszłość, autor nie pomija i współczesnych mu wydarzeń. Usiłuje dojść do jakiejś syntezy i przedstawić idealny pogląd, oparty na własnej obserwacji i historii bohatera EN. Przemawia do nas logicznie i zrozumiale. Sylwetka bohatera wychodzi z kart epepej plastycznie i zwycięsko. Bije od niej ciepło, współczucie, siła moralno-religijna i duma narodowa. Najwięcej jednak imponuje nam humanitarność, godna Erasmusa lub Martina Bubera.

Epepeja daje poetyczny wyraz koncepcji ideałów, dokonań i przeznaczenia Rzymu. Przedstawia charakter rzymski i dowodzi, że cnoty zadecydowały o wielkości Miasta. Identyfikuje się z ideologią augustowską, wbrew tradycji szkoły aleksandryjskiej, głoszącej rozdział między sztuką a propagandą. Wpływ Homera jest wyraźny. Część ksiąg wznosi się na wędrówkach Odyseja, inne na Iliadzie. Technika Wergiliu-

sza korzysta chętnie z popisów retorycznych, patosu i efektów dramatycznych. Pierwiastek humanitarny góruje jednak nad bohaterskim. Nierzadko do głosu dochodzi argument miłości. Nawet bogowie odstępują od wzorów homeryckich, tracąc ze swego dostojęstwa i okrucieństwa. Wenus np. jest wręcz nowocześnie ujęta. W IV. księdze występuje bardzo swobodnie:

Łuk zwyczajem łowieckim zwiesiła z
barków Wenera
Włos rozpuściła na wiatr z nagimi
kolany.

Z greckich dramaturgów Eurypides swoją znajomością psychologii i humanitarności oddziałal wyraźnie na rzymskiego mistrza. Z rzymskich pisarzy Ennius i Lucretius (znakomity poeta i genialny przyrodnik) pozostawili wyraźne ślady na technice i treści poematu.

Bohater eposu EN jest wzruszająco patetyczny. Pierwiastek bólu, liłości, tworgi czyni z niego wyjątkową postać, psychologa wielce nęcącą. Około jego osoby wytwarza się atmosfera, prosząca o ilustrację muzyczną z repertuaru Czajkowskiego. Apoteozę Wergiliusza za jego ludzkość, reprezentowaną przez główną postać, ujął chyba najlepiej wielki kardynał Newman: „... as of a prophet or magician his single words and phrases, his **pathetic** (moje podkreślenie) halflines, giving utterances as the voice of Nature herself to that pain and weariness yet hope of better things which is the experience of her children in every time“.

EN kroczy zdala od tłumy, skazany na zmaganie się z ludzką małością i kruchością. Zwycięża dzięki niezłomnemu charakterowi i niekompromisowemu wykonaniu świętego obowiązku. Gdy się przemierza jego Golgotę, pojmuje się w pełni westchnienie: Sunt lacrimae rerum (ręczy mają swoje łzy). Cierpi wytrwale, aby spełnić zadanie, przerastające siły śmiertelnika. Zwycięstwa nie święci fanfarami; słusznie je ocenił: *Tantae molis erat Romanam condere*

gentem (tak olhzymiego trudu wymagało założenie plemienia rzymskiego).

Eneida jest wielkim narodowym eposem, przedstawiającym Rzymian jako postacie ciosane z granitu, wzory politycznej roztropności i prawości, pamiętne tradycyjnych cnót i współczesnej realności, jako wspólnych, sławnych, niezwykłych panów świata. Nacjonalistyczną nutę łagodzi główny bohater, uosobienie pokory i ludzkości, bierne narzędzie losu. Autor ubiera go w szaty cierpienia w sposób rzadko spotykany w innych dziełach sztuki.

EN imponuje jako idealna, mistyczna postać, poza czasem i miejscem. Może symbolizować Rzymianina, równie dobrze jakąś poetyczną duszę lub proroka. Ma w sobie coś z Alioszy Dostojewskiego (Bracia Karamazow). Pozostaje bez domu i odanego przyjaciela. Będąc wrogiem wojny, skazany jest na rozlewanie krwi. Afera z Didoną (wołę „Dido“ niż tłumacza „Dydo“) nie rozjaśniła jego ponurego życia. Małżeństwo z Lawinią nie jest sprawą serca lecz czysto polityczną koniecznością. Po krótkim pożyciu małżeńskim przenosi się do bogów. Patetyczna i heroiczna figura! Cechuje ją „pietas“, co oznacza obowiązkowość, sumienność, dokładność w stosunku do Boga i do człowieka. Schodzi w zaświaty do ojca, powraca przeistoczony, nieczuły więcej na ponęty świata; żyje dla swego ludu i przyszłego narodu, cierpliwy, poświęcający się, współczujący, zawsze świadom swej ogromnej odpowiedzialności. Szczęścia na ziemi nie zaznał i syna przestrzega: *Disce puer virtutem ex me rerumque labore, Fortunam ex aliis.* (Ode mnie, chłopcze, ucz się cnoty i mazołu, szczęścia od innych). Jest apologetą pokoju i propagandystą zgody:

*Pacem me eqaminis et Mortis sorte
perempti
Oratis? equidem et vivis concedere
vellem.*

(Wy mnie prosicie o pokój dla zmarłych, którzy polegli w boju? Toż ja bym go rad i z żywymi zawrzeć. Ks. XI).

Troskliwa analiza osobowości EN

odkryje trzy zasadnicze składniki. homeryckie bohaterstwo, starorzymską, stoicką wielkość i augustowsko-wergilijską humanitarność. Do wypełnienia swej misji przystępuje bez ekliwej sentymentalności. Jest wrażliwy, łagodny, wstydlivy, humanitarny. Przyciszonym głosem stwierdza: *SUNT LACRIMAE RERUM.* Głęboko wzruszająca, cudowna linia, świadcząca chlubnie o filozoficznym spojrzeniu Wergiliusza na padół cierpienia. Porządek i równowagę, pokonanie chaosu, narodziny nowego wieku złotego trzeba okupić łzami. Muszą się sypać łzy, skoro świat nie może istnieć bez przymusu, bez państwa i władzy, bez wojny. Aż za dużo źródeł tych łez!

EN jest „pius“, „bogobojny“ w przekładzie Wieniewskiego. Jako czuły syn schodzi do ojca przez Hades do Elysium. Typ zgoła odmienny od faustowskiego, bez wybujałych namiętności, z dobrze funkcjonującą inteligencją, nie buntującą się przeciw boskości (cede deo! — ustąp bogu). Zdradzał iście chrześcijańską pokorę. Jest nie tylko wewnętrznie „pius“ ale i widocznie; dokładny w przestrzeganiu obyczajów i rytuału. Nic dziwnego, że Wergiliusz, **jedyny z pogan**, dostąpił wyjątkowego zaszczytu: przyznano mu rangę równą żydowskiemu i chrześcijańskiemu prorokom. Nazwano go też „anima naturaliter christiana“ — dusza z natury chrześcijańska.

EN posiada też w sobie coś z renesansowego, idealnego księcia. Aby wymienić tylko: temperament dojrzałego męża stanu, szeroki horyzont, szybką orientację. Pamięta o narodzie, nie ociąga się z akcją. Podporządkowuje własną osobę racji wyższej polityki, nie tracąc nic ze swej godności. Nie jest głuchy na rady starszych. Spraw pokoju i wojny załatwia z myślą o państwie. Jest pacyfistą. W księdze VIII opisuje trwogę matek na widok synów, ciągnących na wojnę: *Stant pavidae in muris matres...* W przekładzie: *Matki wylękle zanoszą gorące modły...*

Eneida jest dla mnie arcydziełem, przemawiającym dobitniej niż Iliada. Wiem, że się spotkam z naganą za to wyznanie. Zgadzam się z krytykami, wskazującymi na fakt, że nie

dzielimy opinii autora w wielu sprawach, że nie rozumiemy zawsze środowiska, w którym wyrósł i które na swój sposób interpretował. Nie zmienia to jednak mego sądu. Każdego wrażliwego czytelnika zachwyci genialność struktury dzieła, wzruszy piękność i subtelność. A jednak — przesądny mistrz zarządził testamentnie spalenie poematu. Uratował go Oktawian-August, czym się do brze zasłużył potomności.

Sławy nie zdobywał. Spadła na niego po pierwszym tomiku poezji (Bukoliki czyli Eklogi). Śpiewano jego wiersze na scenie przy akompaniamencie muzyki. Publiczność witała wchodzącego poetę powstaniem — honor, oddawany jedynie imperatorowi. Potomność zawdzięcza mu przekazanie wielu ważnych odkryć i koncepcji w różnych dziedzinach starożytnego życia. Wywarł wpływ na literatów i myślicieli większy aniżeli jego znakomici koledzy. Dykcja, rytm, muzyczność jego poezji pozostały nieprześcignione. W jego utworach przewija się złota nić patosu, gdy zwraca się do pasierbów ludzkości. Bohaterską legendę Eneidy przeplata przyziemnymi aspektami codziennego doświadczenia, nadając w ten sposób swemu dziełu szekspirowską uniwersalność.

Na forum literackim Eneida zajęła od razu czołowe miejsce. Krytyka przemierzyła ją starannie a pedagodzy anektowali dla wszystkich szkół, godnych tej nazwy. Stała się źródłem wiedzy o języku, poetyce i sztuce retorycznej, przedmiotem rozpraw naukowych, komentarzy i alegorycznej interpretacji. Ta właśnie spopularyzowała ją w świecie chrześcijańskim. Wyrazem średniowiecznego kultu Wergiliusza jest, między innymi, rola jaką Dante wyznaczył mu w swej „Boskiej Komedii“. Eneidę uważano za rodzaj Biblii, zastępującej Księgi Sybillińskie. Ale i dla późniejszych czasów pozostała również arcydziełem nie kwestionowanej supremacji. Styl, dykcja, wspaniały heksameter zapewniły jej tę rangę.

Eneida mieści w sobie liczne, skomplikowane, niełatwe do pogodzenia motywy. Wergiliusz, przystępując do opracowania kielkujących idei, wyraził wobec Oktawiana-Augusta obawę,

że oszaleje. Ciężar odpowiedzialności i niepewność, czy wywiązał się z zadania, przygniatały go do końca życia.

Każda z dwunastu ksiąg Eneidy stanowi zamkniętą całość i może uchodzić za oddzielne opowiadanie. Ma to swoje dobre i złe strony. Trudno uniknąć dubletów, niekonsekwencji lub wręcz sprzeczności. Wergiliusz pracował nad poematem 10 lat. Zdania co do kolejności powstania poszczególnych ksiąg są podzielone. Nasz znakomity uczony, prof. Kazimierz Kumaniecki uważa księgę III za pierwszą, a VII za ostatnią. Wieniewski daje każdej księdze własny tytuł, za co zyska dodatkową wdzięczność czytelników. — Eneida stanowi kopalnię wiedzy o historii i mitach, faktach i wymysłach, filozofii i psychologii, również o ludzkiej tragedii. Jest eposem lojalności i wdzięczności dla cezaryzmu, przedstawionego jako dar niebios, ze względu na dobre rządy i utrzymanie pokoju. Klasyczna w opracowaniu, zachwyca artystycznym językiem i metryką. Posługuje się melodyjnymi frazami i epitetami, wbijającymi się w mózg. Muzykalny człowiek będzie ją czytał z przyjemnością, nie rozumiejąc nawet języka. Opis burzy na samym początku budzi natychmiast skojarzenie z jakąś bohaterką operą, w pierwszym rzędzie Wagnera. (O znaczeniu Wergiliusza dla rozwoju włoskiej opery pisał Romain Rolland). „Zaślubiny Eneasza z Didoną w grocie, przy akompaniamencie szalejących elementów, przenosi mnie do „Ariadne auf Naxos“ Ryszarda Straussa.

Jeśli w ciągu wieków Opatrzność darzy nas jakimś Mozartem, Racinem, Szekspirem, Chopinem i im podobnymi, mówimy o nich, że posiadali wergiliańską duszę. Byli w Rzymie i inni wielcy ludzie ale 1-e miejsce zajął Publius Maro. Princeps!

Wergiliusz był rzymskim klasykiem, podobnie jak Horacjusz, Ciceron, Liwiusz i inni. Znaczenie Rzymu dla naszej cywilizacji, języka — łacina pozostanie zawsze naszym drugim językiem — nauk przyrodniczych, prawa, teologii, sztuki rządzenia jest przemożne. Wergiliusz zasłużył istotnie na nazwę „boski“. Na-

należy do najwyższej klasy pisarzy, jest obok Horacjusza i Juwenala najczęściej cytowany. Żył w wieku zasucho i dosytu. Rzym tryskał dumą, bogactwem i pompą. Z całej tej świetności dwa nazwiska zachowały blask i świeżość: Wergiliusz i Horacjusz, „animae quales neque candidiores terra tulit“ (jaśniejszych dusz ziemia nie nosiła).

Jedyna książka przez 2.000 lat nie wyszła z użytku szkół świata, to Eneida. Autor miał prawo mówić o sobie: hinc usque ad sidera notus. Jego słowa istotnie sięgała gwiazd. Properejusz, zapowiadając wydanie Eneidy wzywał: Cedite Romani scriptores, cedite Graei, nescio quid maius nascitur Illiade. (Z drogi rzymscy pisarze, z drogi Grecy, rodzi się coś większego od Iliady). Owidiusz dołącza się do pochwalnego chóru: quo nullum Latio clarior exstat opus (żadne dzieło nie występuje wspanialej) a nasz Trembecki (Zofiówka) dorzuca: Tysiąc było poetów a jeden Wergili.

W żadnym też innym utworze nie dochodzi do głosu tak dobitnie głęboki sens piękna, owiany smutkiem życia, w żadnym tak bystra pamięć i mglista nadzieja, surowość dla siebie a litość dla wszystkich i wszystkiego. Mój profesor łaciny wpadał w trans, gdy naną czytał wyjątki i ukradkiem ocierał łzy. Tennyson nazywa Wergiliusza „lordem języka“ a Dryden uważa „Georgiki“ za „the best poem of the best poet“. Osiągnął w nich niewątpliwie szczytową melodyjność i szlachetność brzmienia, do których słowa są zdolne.

Jego słownictwo to codzienna, czasem nieco archaizowana mowa. Każdy Rzymianin posługiwał się nim i każdy go rozumiał. I w tym leży trudność tłumacza nie tylko dzieł Wergiliusza ale i każdego innego wybitnego stylisty, czy to będzie Szekspir, czy Bernard Shaw. Z zapasu najpospolitszych słów należy stworzyć najniezwyklejsze linie, szare banalności podnieść do potęgi cudów stylistyki. Z pięciu pospolitych słów powszedniej mowy stworzył Wergiliusz niepowtarzalną muzykę nieśmiertelnej skargi: Infandum, regina, iubes renovare dolorem (k. II). (Niewy-

słowniony ból rozkazujesz mi wskrzesić królowo). Tą linią rozpoczyna EN swoje opowiadanie na uczcie Didony i to jest najszumniejsza linia w całej literaturze świata.

Wergiliusz nie miał towarzyszyki życiowej. Prowadził żywot dyskretny, wstrzemięźliwy i samotny. Tym bardziej zdumiewa jego znajomość kobiecej psychiki i patologii miłości. Bukoliki, którymi zyskał przez noc sławę, są tym sprawom poświęcone. W jednej z nich znajduje się nieśmiertelna fraza: omnia vincit Amor et nos cedamus Amori (miłość zwycięża wszystko a my ustępujemy przed miłością). Wergiliusz głosi potęgę Erosa 20 wieków przed Freudem i przestrzega: et quisque amores aut metuat dolcis aut experiatur amarus... (i ktokolwiek bałby się słodczy lub skosztowałby gorzkości miłości...) a Wenus zwraca się do Erosa: synku, ty moja mocy potężna i siło!

Te wycieczki w stronę Erosa prowadzą nas do tragedii z Didoną (ks. IV). Jej miłosny zawód, cierpienie i samobójstwo opisane są tak mistrzowsko, że zapewniły poematowi wyjątkowe powodzenie u współczesnych i potomnych. Wergiliusz umie dobrać się do serc i poruszyć je do głębi. Ten romans EN z Didoną, ta wzruszająca i szlachetna historia rozrosła się do nieprzewidzianych granic. Swą wspaniałością przyćmiła inne księgi, pozwoliła autorowi na połączenie subtelnej, wnikliwej psychologii z ludzkim współczuciem i wytoczenie klasycznej retoryki przetkanej palącą namiętnością. Św. Augustyn płakał, czytając ją. Dido jest szczytową kreacją Wergiliusza a może jedną z największych w światowej poezji. W tę zawiedzioną, nieszczęśliwą, między obowiązkiem a uczuciem targaną niewiastą wlał autor całą znajomość ludzkiego serca, całe zrozumienie ludzkiej tragedii. Dido zapewniła mu nieśmiertelność.

Jak wychodzi EN z tej nieco kompromitującej afery? Nie należy zapominać, że EN i Dido reprezentują mityczne inkarnacje historycznych potęg, Rzymu i Kartaginy. Nie mógł więc romans zamienić ich w przykładowe stadło. Moralisci nie są jeszcze zgodni co do ostatecznego werdyktu.

W sprawach wątpliwych lepiej przychylić się na stronę oskarżonego. Kochanków popełniających szaleństwa, jak Romeo, Othello, Werther lub Kordian literatura zna wielu. Nie zapewnili sobie zwycięskiego podziwu u potomności. Natomiast EN, Hamlet, Tytus (Racine), niebaczni na głos serca a pamiętną swęj misji zdobyli wieczną sławę. EN ma swoje usprawiedliwienie rozkaz wyższych potęg: *Italiam non sponte sequor* (jeśli mi czas do Italii wyruszyć, nie moja to wola).

Na temat Eneidy i jej autora można by pisać bez końca. Każdy czytelnik znajdzie jakiś rozdział, który go zatrzyma i zmusi do refleksji. Wyrafinowanym smakoszem polecam traktat o plotce jak *„nocte volat caeli medio terraeque per umbram stridens, nec dulci declinat somno* (ks. IV) — nocą lata w ciemnościach pomiędzy ziemią a niebem, z ostrym syczeniem a błogi sen nie zamyka jej oczu). Fascynujący, psychologi-

czny wykład, z którego hojnie skorzystał 18 wieków później Pierre Beaumarchais w swym własnym „Cyruliku sewilskim“.

Drugi taki niepowtarzalny opis, w tej samej księdze, jest poświęcony nocnemu spoczynkowi przyrody:

Była już noc i błogiego snu zażywały
strudzone
Ciała człowiecze, w spoczynek
zapadły i lasy i srogię
Morza, połowę swych dróg
przetoczyły gwiazdy na niebie
Pola milezały i trzody i barwne
rzesze skrzydlate
Wszelkie stworzenia żyjące w
jeziorach i to, co się gnieździ
W gąszczu cienistym — świat
pogrążony był w śnie cichej nocy
Kojąc troski, a serca zbolale
niepamięć spowila.

Na zakończenie jedynie dwie sprawy:

1. Wergiliusz a ... literatura polska. Odsyłam zainteresowanych do

wstępu tłumacza. Od siebie dodam, że mój ulubiony „Beniowski“ Słowackiego zawiera liczne Wergiliana. Następnie, że w r. 1953 ukazały się w Kraju wybrane „Bukoliki“ i „Georgiki“ w pięknym tłumaczeniu i interpretacji Zofii Abramowiczówny.

2. Prof. Wieniewski stworzył czytelnikom sezon, w którym znajdują nieprzebrane skarby wiedzy i źródło najszlachetniejszych wzruszeń.

Uważam, że dokonał dzieła nie-ludzko trudnego. Na filologicznych wiadomościach, zręcznym korzystaniu ze słowników i prac poprzedników nie wyczerpuje się zadanie tłumacza. Musi wtargnąć do mózgu i zakraść się do serca autora, którego chce uprzystępnąć własnemu językowi. Wieniewski uczynił to w sposób godny naśladowania. Wtajemnicza żądnych poznania misteriów piękna w sposób rafinowanie pedagogiczny. Bierze ich pieczołowicie za rękę i, niby Sybilla Wergiliusza, prowadzi przez 12 ksiąg, przez całą historię Rzymu i resztę starożytnego świata, przez wszystkie kolebki naszej dzisiejszej cywilizacji bez obniżania lotu, bez śladu znużenia lub chwilowego zapadu. Klasyczny tłumacz klasycznego dzieła! Patrząc na wynik swej pracy, może z czystym sumieniem powtarzać za bohaterem Eneidy: *Tante molis erat* — takiego wysiłku wymagała!

Co jest podziwu i zazdrości godne, to sposób przeprowadzenia tytanicznego zadania. Wręcz jak asceta, zamknięty w czterech ścianach swej celi, bez luksusu wielkich instytucji, bez asysty, skazany na własną wiedzę, twórczość i wycucie, bez rozgłosu i szumnych obietnic przedkłada wspaniały plon swego chwalebego wysiłku. Jak zamknąć swój sąd nad takim „Vir“?. Najlepiej pozostawić to Norwidowi:

Wielkim jest człowiek, któremu
wystarczy
Pochylić czoła,
Żeby bez włóczni w rękę i bez tarczy
Zwycięzył zgola.

Marian Hemar

Fryderyk Goldschlag

PRZYOKAZJI

(Dokończenie ze str. 18)

O cóż tedy chodzi? Czy o to, że wymagania rosyjskich władców, aby powtarzano przed nimi takie obłąkane formułki obłąkanej czołobitności mieszczą się w ich szczelnie zamkniętym świecie, w ich szczelnie zamkniętych mózgach, w których białe jest czarne, jeżeli oni mówią, że czarne, a powtórzyli tak już tylekroć, tak często, że sami w to wierzą? Nie ma w tym, zdaje mi się, wielkiego znaczenia, że sami unicestwili znaczenie własnych słów i mniejsza o to, czy delegat brytyjskiego komunizmu był tam, czy go nie było. Jedno co się liczy, to agonia czeskiego ludu.“



Na tle chronicznych appeasementów „Timesa“, który w swoim zakresie, kiedy tylko może, z czerwonego robi białe i sam w to wierzy, artykuł p. Bernarda Levina wydaje mi się tym bardziej przejmujący. Brak mi w nim tylko odpowiedzi Leonida Breżniewa. Breżniew oświadczył, że „komuniści radzieccy całkowicie zgadzają się (!) z oceną wy-

darzeń z lat 1968-69, w referacie sprawozdawczym p. Husaka. Ta ocena zawiera głęboką marksistowsko-leninowską analizę. Dlatego właśnie w światowym ruchu komunistycznym takim wielkim autorytetem cieszy się obecnie KPCz i jej przywódca towarzyszy Husak i inni nieugięci bojownicy o sprawę socjalizmu“.

Brak mi też tego co powiedział p. Edward Gierek, pozdrawiając czechosłowackich twarzyszy w imieniu PZPR i całego narodu polskiego:

„We wspólnej walce narodowo-wyzwoleńczej, (!) nabierały nowej treści wielowiekowe historyczne więzienie (!) między naszymi narodami.“

Cytaty zawdzięczam londyńskiej „Kronice“ z dn. 12 czerwca, z radosnego ich artykułu pt. „Czechosłowacka normalizacja“.

Kiedy patrzeć na to wielkie zaślionione kłębowisko żmij, renegatów, podlizywaczy, obłudników, fałszerzy, łgarzy, karierowiczów, tchórzów, oportunistów i ich kronikarzy — co nam za różnica, która żmija wstrętniejsza, która bardziej jadowita?

„Głupi Jakub“ Rittnera

WNOWIENIE sztuki cenionego i zasłużonego pisarza polskiego, piszącego dwóch językach, niemieckim i polskim, pozwala zastanowić się nad rodzajem jego twórczości dramatycznej, nad jego żywotnością i nad jej odbiorem przez widza współczesnego. Wystawienie przez teatr emigracyjny jakiegokolwiek sztuki Tadeusza Rittnera (1873-1921) jest zdarzeniem samym w sobie pozytywnym. Idzie bowiem o pisarza o uznanych walorach formalnych i dobrze osadzonego w życiu teatralnym nie tylko polskim, ale i obcym. Dzieło jego tkwi bowiem w wielkiej tradycji teatru tzw. mieszczańskiego, choć przeważnie przedstawia środowisko ziemiańskie, lub wiejskie. Ponadto wystarczy przypomnieć, że zestawiany był z Henrykiem Ibsenem (1828-1906), z którego wywodzi się, lub z Bernardem Shaw (1856-1950), nad którym zazwyczaj górował subtelnością.

Niemniej, wymagania nie tylko kasowe, lecz raczej liczenie się z usposobieniem i gustami publiczności sprawiają, że właśnie na scenach polskich największym powodzeniem cieszy się nienajlepsza ze sztuk Tad. Rittnera. Znawcy całej jego twórczości uważają „Głupiego Jakuba“ wręcz za jego najsłabszą i najmniej przyjemną sztukę. A jednak u Polaków ma powodzenie. Toteż nie dziwnego, że weszła ona scenkę „Ogniska Polskiego“ wprowadzona przez sprawną reżyserkę Barbarę Reńską z poręki „Teatru ZASP“. Niewątpliwie i w tej sztuce jest coś ze zręczności kunsztu inscenizacyjnego autora, ale trzeba dodać, że nie tyle, aby ta sztuka została dopuszczona na wielkie sceny niemieckie na równi z wszystkimi innymi sztukami Rittnera.

Środowisko przedstawione w „Jakubie“ jest na wskróś polskie, i zostało przedstawione wcale realistycznie. Podoba się ono zwłaszcza krytykom usposobionym społecznie. Nawiasem wypada stwierdzić, że tego rodzaju tzw. „społeczne“ podejście do sztuki, czy jej treści, jest dziś wielką naiwnością. Dobrze już wia-

domo, że tyranii spodziewać się można równie dobrze w środowisku arystokratycznym, jak i proletariackim i gdy autor rozprawia się z nią w komedii, to nie tyle rozprawia się z tłem społecznym, co po prostu z naturą ludzką. Toteż zbyt ostro zarysowane, czy przerysowane przez autora kontury głównych postaci w sztuce zostały niejako pośrednio na scenie Teatru Polskiego złagodzone przez stworzenie atmosfery pięknie stonowanymi kolorystycznie wnętrza mi skomponowanymi przez Feliksa Matyjaszkiewicza i podanymi widzom w należycie stonowanych oświetleniach przez Feliksa Stawińskiego. Przejaskrawiona była natomiast gra, zwłaszcza głównej postaci tyrańskiego szambelana, zgodnie zresztą z intencjami autora tekstu, ale niemniej może z nazbyt oschłą bezwzględnością w wykonaniu Bogdana Urbanowicza. Żeby wskazać jak trudno utrafić w sedno, wystarczy przypomnieć, że Mieczysławowi Frenklowi (1859-1934) zarzucano, odwrotnie, że był nazbyt sympatycznym szambelanem.

Najwięcej pomysłowości w opracowaniu swej roli wprowadził szwagier szambelana Teofil (Roman Ratschka), natomiast talent aktorski Maryny Buchwaldowej nie zdołał rozbić monotonii postaci Marty, siostry szambelana. Wymuskana postać Andrzeja Kamińskiego nie miała w sobie tej zapobiegliwości lekarskiej, jakiej spodziewamy się zwykle do doktora, któremu zresztą autor nie dał do spełnienia zbyt budującej misji. Zatem obok szwagra fircyka-darmozjada mamy tutaj naciągacza w lisiej skórze. Epizodyczną rolę Katarzyny-karczmarki i matki Jakuba — wzięła siebie Barbara Reńska.

Zasadniczą oś akcji stanowi bowiem Szambelan, a dokoła niego obracają się dwie dramatis personae: Jakub, syn karczmarki i lekarza przyhołubiony przez Szambelana (Robert Oleksowicz) oraz Hania z czworaków wyedukowana na pannę dworską (Bogna Klakówna), łączy ich miłość i dzieli niski stan. A konflikt ten roz-

grywa samotny Szambelan zakochany w Hani, podobnie jak i (Głupi — bo liczący się z ideałami prawdy) Jakub. Wobec tego prostolinijność i cały ciężar dramatu skupia się na Hani, z której reakcjami autor nie dał sobie rady i ponoć do końca pisania sztuki nie wiedział, czy zrobić z niej ofiarnego anioła, czy wyrachowaną dziewczynę. Dość, że rzecz zdana została na przypadek i najwidoczniej o zakończeniu zdecydował rzut monetą: Orzeł czy reszka? Spadła reszka a Hania nie poszła za „Głupim“ Jakubem, lecz została ze starym Szambelanem. Koniec smutny, ale nie tragiczny. Klakówna włożyła w tę nową swoją rolę całą duszę, ale nie mogło z tego wyjść nic więcej, niż coś pomiędzy sprzedajnym aniołem i anielską kalkulatorką. Reżyseria, jakkolwiek staranna, mogłaby podać rękę autorowi, tylko koncepcją idącą na przekór tekstowi.

Przedstawienie zawdzięcza swą sprawność również i kierownictwu sceny Jana Smosarskiego. Sztuka została umiejscowiona w epoce dzięki kostiumom pomysłu Jadwigi Matyjaszkiewiczowej. Program i organizacja Olgi Lisiewicz.

Jan Ostrowski

Aleksander
Stamborowski

ZJEDNOCZENIE

*Uwagi na tle nowych
usiłowań zmierzających
do utworzenia
jednolitego kierownictwa
politycznego
na emigracji.*

Cena: 10 p.

Księgarnia S.P.K.
20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO“

Przegląd spraw wojskowych

STANY ZJEDNOCZONE A. P. Prémówienie sekretarza obrony Lairda z marca i wywiad z maja br., udzielony tygodnikowi „U.S. News & World Report“ i zajmujący aż 14 szpalt tego pisma, świadczą wymownie o tym, w jak kłopotliwym położeniu znajduje się Pentagon, którego zamierzenia są komplikowane lub nawet udaremniające czy ograniczane nie tylko przez wzrost cen, nastrojów pacyfistyczno-izolacjonistycznych oraz sporów w senacie, ale także rokowania rozbrojeniowe, zwłaszcza „SALT“, dalsze zbrojenia Sowietów, bierność większości sojuszników i nadal napiętą sytuację w Wietnamie i na Środkowym Wschodzie. Do tych trudności i komplikacji dochodzą obawy o przyszłość Południowego Wietnamu w razie dalszej redukcji sił amerykańskich, konieczność zwiększenia wydatków wojskowych celem zastąpienia poborowych ochotnikami, niemożność wprowadzenia na uzbrojenie kilku nieudanych a bardzo kosztownych „superbroni“, jak czołgi MBT-50, myśliwce F-111 itd., wreszcie potrzeba modernizacji floty wojennej, walka z narkomaniami i uchylaniem się od służby wojskowej.

Wszystko to razem powoduje wahania, opóźnienia i brak pewności, czy preliminowane środki budżetowe wystarczą, choć (mimo zmniejszenia wydatków na wojnę w Wietnamie — do 14 miliardów) przedstawiony kongresowi w lutym br. preliminarz resortu obrony na 1971/72 przewiduje 76 miliardów dolarów. Uzyskanie zgody Kapitolu na ewentualne zwiększenie tej sumy jest tym bardziej wątpliwe, że gwałtownie wzrastają wydatki na dział opieki społecznej i że zadłużenie skarbu państwa już przekroczyło 373 miliardy dolarów. Argument, że w nowym preliminarzu kredyty na obronę stanowią już tylko 34% całości budżetu, gdy w 1968 roku stanowiły jeszcze 48%, może senatorów, buntowanych i uspokajanych przez Mansfielda, nie przekonać. Ani drugi, że stanowią już tylko 7% produktu narodowego, a nie 9,5% jak dotychczas.

Toteż Laird szuka oszczędności przez redukcję stanów liczebnych, dalszą likwidację baz zamorskich i nieustanne wycofywanie sił amerykańskich z Wietnamu. Stan liczebny sił zbrojnych, który w 1968 r. sięgał 3,5 milionów, a obecnie wynosi 2,8 mln., ma być zmniejszony do końca 1972 r. do 2,5 milionów. Niezależnie od tego ma się zwolnić 142.000 pracowników cywilnych. Jeśli idzie o bazy zagraniczne, to od objęcia prezydentury przez Nixona zlikwidowano już 44 i zmniejszono 68 baz. Równo-

cznie stan liczebny sił amerykańskich zaangażowanych w Wietnamie spadł już z 549.500 do 284.000 i ma być do I.XII. br. zmniejszony do 184.000. Niezależnie od tego zmniejszone zostały w 1970 roku oddziały amerykańskie w Syjamie, Korei, Japonii, na Formozie i Filipinach i 7. flocie, w sumie o około 40.000, w Europie (razem z 6 flotą) o 25.000, a w innych rejonach o 15.000.

Redukcje te niewątpliwie dadzą znaczne oszczędności, jednak nie wyrównają wzrostu wydatków wojskowych, które są relatywnie o 100% większe niż w 1964 roku, a zwiększą się dodatkowo, jeśli uda się do końca 1973 roku oprzeć siły zbrojne wyłącznie czy głównie na elemencie ochotniczym, angażującym się na dłuższe okresy służby i odpowiednio droższym. A przecież będzie trzeba, jak Laird z naciskiem podkreślił, zastąpić zmniejszenie stanów liczebnych, zwiększoną jakością sprzętu, którego ceny nieustannie wzrastają. Zwłaszcza, jeśli Sowiety nie zaprzestaną rozbudowy swych broni niekonwencjonalnych, przeciwrakietowych i podwodnych, co zmusi Amerykę do wznowienia wyścigu w tych dziedzinach, bo „może ona ostatecznie, jak oświadczył Laird, zgodzić się z równowagą w tych dziedzinach, ale nie może dopuścić do spadnięcia na drugie miejsce“. Na razie krepują ją limity ustalone w latach 1965/66 dla rakiet międzykontynentalnych i ilości okrętów podwodnych z raketami, nie mówiąc już o rokowanach „SALT“ i oporach w senacie przeciw dalszej rozbudowie sieci rakiet przeciwrakietowych „Spartan“ i „Spring“.

Przewidziane wzmocnienie podziemnych wyrzutni „Minutemanów“, zastępowanie na 41 okrętach podwodnych rakiet „Polaris“ dalekosiężnymi raketami „Poseidon“ i rozproszenie bombowców strategicznych może nie wystarczyć. Rzecz jasna, że w ramach obecnych skrupowań Pentagon robi, co może, kładąc nacisk na zwiększenie środków do zwalczania okrętów podwodnych, przezbrajanie lotników, przyspieszenie rozpoczęcia seryjnej produkcji nowych bombowców strategicznych B-1, nowych myśliwców F-14 i nowych samolotów szpiegowskich SR-71, wypróbowanie rakiet przeciwrakietowych, unowocześnienie okrętów desantowych itd. W związku z tym po raz pierwszy nowy preliminarz przewiduje następującą kolejność podziału kredytów: marynarka wojenna 23,3 miliardy, lotnictwo 22,8 mld. a wojsko, które zawsze otrzymywało najwięcej pieniędzy, tylko 21,5 miliardów dolarów.

Czy uda się do końca 1973 roku znaleźć dwa i pół miliona ochotników, jest bardzo wątpliwe — przy obecnym nastawieniu młodego pokolenia do służby wojskowej. Zwłaszcza, gdyby obecne bezrobocie się zmniejszyło, a stosunek społeczeństwa do munduru nie uległ poprawie.

Mimo powyżej nakreślonych trudności finansowych i skrupowań Pentagon może się poszczycić różnymi osiągnięciami, jak np. udaną próbą uchwycenia rakiety „Minuteman“, wystrzelonej z odległego o 4.200 mil Vandenberg, przez przeciwrakietę „Spartan“, wystrzeloną z wyspy Kwallaen, albo udane przerzucenie desantu spadochronowego z Kalifornii na Koreę odległą o 8.500 mil, albo skłonienie towarzystw armatorskich i stoczni do budowy w następnych latach po 30 statków handlowych, gdy dotychczas budowano tylko po 10, albo przyczynienie się do odrzucenia przez senat wniosku Mansfielda, by zredukować siły amerykańskie w Europie o połowę, tzn. do 150.000.

Niestety, równocześnie Pentagon zamierza zredukować ilość gotowych dywizji z 16 na 13 i pół i to już do lipca br. — mimo olbrzymiej przewagi lądowych sił sowieckich i satelickich w Europie i mimo niemożności skłonienia sojuszników do zwiększenia ich sił lądowych. Poprawienie uzbrojenia i wyszkolenia dywizji rezerwowych ma to wyrównać, co, niestety, jest bardzo wątpliwe.

WIETNAM. W związku z redukcją sił lądowych i coraz mniejszym zaangażowaniem ich do działań zaczepnych oraz w związku z udaremieniem ofensywy czerwonych przez przejściowe przerwanie szlaku Ho-Czi-minha w Kambodży i Laosie — straty amerykańskie w poległych lub zmarłych z ran żołnierzach przekroczyły już hekatombę amerykańską podczas wojny w Korei! Natomiast bardzo duże od początku zaangażowania straty ogromnej floty helikopterów (wirowców raczej się zwiększyły, w związku z czym ogólna ilość zniszczonych aparatów wzrosła do 4.100, gdy przeciętny stan tej floty wynosił i wynosi 4.000. Zginęło przy tym 4.300 amerykańskich i wietnamskich żołnierzy, w tym aż 5 amerykańskich generałów.

Dotychczasowy dowódca 2 grupy amerykańskiej w Wietnamie, gen. Davison, został niedawno dowódcą sił amerykańskich w Europie — po gen. Polk.

Moja metoda językowa

NIEZBADANE są wyroki boskie: gdyby nie przygodna rozmowa z redaktorem Ryszardem Zakrzewskim nie byłoby tego gawędziarskiego artykułu... A artykuł ten może będzie zaczątkiem książki..., książki o książce. Jeśli tak się stanie, to na pewno będzie ona mniej egotyczna, niż to co piszę poniżej. Ale trudno taki „raport“ pisać w trzeciej osobie, albo w postaci wywiadu ze samym sobą (bo któż inny miałby na to czas i ochotę!). Zresztą — zapewniono mnie, że tak właśnie napisać powinienem.

JAK TO GEN. WEYGAND PRZYJECHAŁ DO MNIE NA WYWIAD I CO Z TEGO WYNIKŁO

Niezbadane są wyroki boskie: Nie miałem ambicji pisania samouczków językowych, tak samo jak nie śniło mi się, że któregoś dnia zostanę korespondentem paryskim („niepolitycznym“) krakowskiego dziennika „IKC“. Ale w życiu często zdarza się, że nieznaczne przypadkowe wydarzenia są ogniwami łańcucha wydarzeń, które mogą mieć nieprzewidziane znaczenie. „Przypadkowe“? „Nieznaczne“? Bo gdyby generał Weygand, ówczesny szef sztabu generalnego francuskiego (w roku 1932) nie przyjechał do mnie w Alpy na wywiad... No tak! Miałem pisać o mojej metodzie nauczania języków, a tu otwieram nawias za nawiasem. Lecz ta dygresja jest zasadniczo potrzebna, jako jedno z pierwszych ogniw w mojej „epopei“: w 1932-im roku budowałem strategiczną kolejkę linową we Francji w Alpach, na granicy włoskiej, w okresie kiedy to Mussolini wrzeszczał, że zaanektuje Niceę, Korsykę i co się tylko da. Gen. Weygand, ze sztabem 18-tu generałów przyjechał, by inaugurować moją kolejkę linową. Skromność nakazuje mi dodać, że przyjechali oni nie dlatego, że ta kolejka była ... „moja“, ale dlatego, by nadać ważności faktowi, że niebotyczne szczyty alpejskie są bronione. I w takiej to uroczystej atmo-

sferze wyciągnąłem świeżą legitymację IKC'a i bezczelnie poprosiłem generalissimusa francuskiego o wywiad... Był tym tak zaskoczony, że przeprowadził wywiad ze mną, a na zakończenie powiedział mi kilka cennych zdań. To jednak, już stanowczo nie należy do tego artykułu.

Bo przecież miałem pisać o mojej metodzie językowej. Nie byłoby jej, gdybym nie był korespondentem IKC'a i gdyby gen. Weygand nie przyjechał i, przypuszczam, przyczynił się do szerszego otworzenia dla mnie szpalt tego poczytnego dziennika. I — gdybym przypadkowo nie otworzył jakiegoś nowego słownika francusko-polskiego i przypadkowo przeczytał: étudiant, m, = student. étudiante, f, = kochanka studenta. Moja furia doszła do zenitu, bo nagle uprzytomniłem sobie przez jakieś skojarzenie, ileż razy wściekałem się, gdy dowiadywałem się ze samouczków, że ten ołówek jest krótki, a tamten jest długi, albo, ze słynnego Olendorffa: Czy ja umiem robić kapelusze?... — Czy ja umiem mówić tak często, jak syn naszego sąsiada? ... Ile ten koń może być wart? Może być wart 500 koron (w wydaniu paryskim i londyńskim, 1870). Czy ta książka jest warta aż tyle?...“ Albo (w trzeciej lekcji angielskiego — nie pamiętam w którym samouczku): „Is your step-father good to you?“ (= Czy wasz ojczym jest dla was dobry?). I w tej samej książce: „Are you married? No, but I have to get married next month“ (= Czy pan jest żonaty? Nie, ale jestem zmuszony ożenić się za miesiąc...“ Albo w samouczku arabskiego: „Gdzie jest twój ojciec? Mój brat go zastrzelił“ ... Może tamci autorzy mieli lepszy „sens of humour“, niż ja, dość, że wściekało mnie ówczesne podejście do nauki języków (prawda, że to było przed epoką doskonałych laboratoriów językowych) i tematy te poruszałem na łamach niedzielnego „Kurieru Naukowo-Literackiego“, dodatku do „IKC'a“, szkicując, jak ja bym samouczek napisał.

„MUSIMY MÓWIĆ PO FRANCUSKU“

Gdy rząd polski przybył do Paryża po upadku Warszawy we wrześniu 1939 roku, wezwał mnie płk. Marian Dienstl-Dąbrowa w swym wojennym charakterze kierownika Wydziału Oświaty i Propagandy naszego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Jako jeden z przedwojennych redaktorów IKCa znał mnie i pamiętał moje artykuły. Przyjął mnie w obecności swego zastępcy, kapitana dra Tadeusza Kiełpińskiego, przedwojennego korespondenta paryskiego katowickiej „Polski Zachodniej“. Powiadomili mnie, że potrzebny jest od razu podręcznik, a raczej samouczek do nauki języka francuskiego dla 50.000 żołnierzy armii polskiej tworzonej we Francji. Podręcznik powinien być napisany tak, jak to właśnie ja szkicowałem w „IKC“. Czy potrafię taki podręcznik opracować, ale szybko: Mnóstwo notatek miałem, ale że do armii zgłosiłem się ochotniczo (3-go września 1939 roku) czasu było mało, a problemów mnóstwo: trzeba było nie tylko przygotować rękopis do druku, ale rozwiązać trudności finansowe, znaleźć kogoś kto figurowałby jako wydawca, zorganizować skład główny, załatwić sprawy drukarni. W rezerwacji wojennym nie było mowy o sfinansowaniu przez jakąś instytucję rządową czy pół-oficjalną. Nawet nie próbowałem... Lecz po dżentelmeńsku i bez chwili wahania tę trudność rozwiązał Tadeusz Winter, bankier łódzki, który „utknął“ w Paryżu w chwili wybuchu wojny; gdy zwierzyłem mu się z mych trosk zaawansował mi bezprocentowo gotówkę potrzebną na pokrycie kosztów doskonale wiedząc, że lada dzień mogę zniknąć wezwany do wojska. Gdyby nie p. Winter i jego zakulisowy obywatelski uczynek — moja metoda zapewne nie ujrzałaby światła dziennego. Należy mu się więc wspomnienie na tym miejscu (o ile mi wiadomo, umarł on w Brazylii). Pani Rosa Bailly, założycielka i sekretarka generalna Towarzystwa Przyjaciół Polski

(Les Amis de la Pologne) w Paryżu, i niestrudzona działaczka w sprawach polskich, zgodziła na imprint „Wydawnictwa Tow. Przyjaciół Polski“ dając mi tym samym adres. Skład główny powierzyłem Księgarni Polskiej na Boulevard St. Germain (dawnej Księgarnia Gebethnera i Wolfa). Były minister i deputowany z Nancy, Louis Marin, prezydent Tow. Przyjaciół Polski, napisał przedmowę do „Parlons Français“, w której, po kilku zdaniach sympatycznej analizy mojej metody, napisał:

„...Dziś, w chwili rozpętania przez barbarzyńców okrutnej zawieruchy wojennej, liczni są synowie bohaterskiej Polski zaszytowanej po zdradziecku, którzy będą walczyć ramię przy ramieniu z nami aż do pełnego zwycięstwa przeciw dzikim bestiom — aż do zwycięstwa, które zapewni ostatecznie odrodzenie Polski i bezpieczeństwo Europy. Tysiące Francuzów jest szczęśliwych, że mogą dla skoordynowania wspólnych wysiłków wymieniać myśli z Polakami, myśli dotyczące bodaj życia codziennego... Powodzenie tej książki jest zapewnione. Wtajemniczcy ona posługujących się nią w arkana języka francuskiego, zachęcając do głębszych nad nim studiów i porównań z językiem polskim. Ułatwi też ona życie każdemu. Jako łącznik serdecznego porozumienia przyczyni się książka ta do wspólnego zwycięstwa“.

W Café Regence na placu paryskim Comedie Française, w pobliżu Luwru, prowizorycznym paryskim miejscu spotkań redakcji IKC'a i „rozgąleńców“, rad udzielali mi i naczelny redaktor, poseł Marian Dąbrowski, i dyrektor IKC'a Mieczysław Dobija, i Zygmunt Nowakowski, i inni. W tejże kawiarni Marian Dienstl-Dąbrowa „machnął“ słowo wstępne, które tu podam w całości:

„Wydanie samouczka ‘Mówmy po francusku’ Zygmunta Frenkla przyjmie z zadowoleniem przede wszystkim żołnierz polski, który walcząc na froncie o wspólne cele z żołnierzem francuskim musi z nim się porozumiewać.

Dlatego witam z radością ukazanie się tak praktycznego podręcznika, umożliwiającego w sposób szybki poznanie języka francuskiego oraz zbliżenie kulturalne z Francją“.

Podpisał: Marian Dienstl-Dąbrowa, podpułkownik Wojsk Polskich, kierownik Wydziału Oświaty i Propagandy Ministerstwa Oświaty Spraw Wojskowych, w dniu 29-go listopada 1939 roku.

Bez jego zachęcenia książka może nie ukazałaby się. Polecono ją rozkazem dziennym Ministerstw Spraw Wojskowych do użytku w oddziałach.

MÓJ SYSTEM

Mój system był (i dalej jest) prosty. Był on nowy wtedy i, to the best of my knowledge, jest dalej nowy, jeśli idzie o samouczek typu książkowego, choć żyjemy w epoce doskonałych laboratoriów językowych. System ten polega na tym, że rozmówki polsko-francuskie, z uproszczoną wymową w oddzielnej kolumnie, stanowią tekst główny. Rozmówki te są praktyczne: w pociągu, w restauracji itd. tak, że każdy może od razu posługiwać się tą książką jak rozmównikiem. Oddzielny rozdział, pt. „Grupy wyrazów“, pozwala rozszerzyć słownictwo w różnych kierunkach. Lecz nowością mojej metody były numerone odnośniki od rozmówek do komentarzy na dole każdej strony, tłumaczące różne formy gramatyczne, synonimy, homonimy, wyrażenia, dwuznaczności spowodowane błędną wymową itd. Prawidła gramatyczne są też zgrupowane oddzielnie, umożliwiając ugruntowanie okruczków zebranych w „komentarzach“. Był też rozdział pt. „W wojsku w czasie wojny“ opracowany przez por. dra A. Bzowieckiego, korespondenta politycznego IKC i byłego założyciela i naczelnego redaktora „Correspondance Diplomatique Internationale“. Rozdział ten zawierał rozmówki, w których dr Bzowiecki zebrał typowe wyrażenia wojskowe polskie oraz francuskie i z właściwą mu dokładnością podał tytuły stopni wojskowych polskich, odpowiedniki francuskie i słownictwo wojskowe. Był też słownik polsko-francuski

(6.000 wyrazów). Nie było czasu na słownik francusko-polski...

Rękopis „Parlons Français“ szedł do drukarni po kawałku w takim tempie, że już w połowie grudnia książka była dostępna w koszarach Bessières w Paryżu oraz w innych.

JAK POWSTAŁO „SPEAK ENGLISH“

„Speak English“ było potrzebne równie pilnie, jak było „Parlons Français“ kilka miesięcy wcześniej. Lecz sytuacja była zupełnie inna. Nie miałem notatek, zaczynało się bombardowanie Londynu (wrzesień, 1940), książkę pisałem pod bombami w chwilach wolnych od pracy w przemyśle wojennym i od dziennikarstwa (Dziennik Polski i Polska Walcząca).

Tu nie było Tadeusza Wintera, były bomby, wojna w pełnym toku, brak papieru na druk, ale nie brak trosk, osobistych, politycznych, wojennych, rodzinnych, które trapiły każdego z nas. Nasz Wydział Propagandy i Oświaty MSWojsk w Londynie popierał wydanie „Speak English“ i obiecał udzielić pomocy materialnej tak, jak to było z „Parlons Français“, ale trzeba przedtem było książkę wydać. Pomoc obiecał prof. Harvey Wood z British Council*) w Edynburgu dzięki czynnej pomocy polskich czynników wojskowych w Szkocji. Było szereg prób, dyskusji, obietnic, trudności. Tom byłby potrzebny na opisanie tych perypetii. „Ostatecznie“ książkę miał wydać „Orbis“ londyński. Na życzenie dyrektora, kpt. Olechnowicza, rękopis przejrzał i przedmowę napisał prof. Charles Irvine, b. lektor języka angielskiego na Uniwersytecie J. K. we Lwowie. Lecz „Orbis“ nie dostał papieru. Nie było to więc „ostateczne“. Zaczęły się ponowne konferencje. Rękopis powędrował do M. I. Kolina. Pan Lindenfeld znał mnie z czasów przedwojennych, kiedy to Przeworski wydał moją pierwszą książkę „Paryż“, i serdecznie obiecał nadrobić czas stracony i wydać „Speak English“ szybko. I zwrócił mi uwagę, że „Mówmy po polsku“ bę-

*) Po ukazaniu „Speak English“ British Council w Londynie poprosił o jeden egzemplarz.

dzie potrzebne na inwazję Polski... Nawet zamówił tę książkę i zadatkował. Nie pamiętam jednak co się stało, że nie mógł wydać „Speak English“, natomiast korekty „Mówmy po polsku“ zaczęły nadchodzić. Rękopis „Speak English“ powędrował do F. P. Agency pana Krajkemana. Zdobył on papier, lecz książkę było trzeba „rozparcelować“, bo nie można było dostać papieru na całość. Więc naprzód wyszła „Praktyczna Gramatyka Angielska dla Polaków“. Potem wyszła właściwa metoda „Speak English“. I oddzielnie „Korespondencja Angielska dla Polaków“. Lecz to już było w 1946-ym roku, więc koniunktura była zupełnie inna, niż w 1941 czy też 1942 roku, kiedy rękopis był gotowy. W „Speak English“ zastosowałem ten sam system, co w „Parlons Français“ i był również rozdział pt. „Brytyjskie Siły Zbrojne“ pióra red. dra Bzowieckiego.

„ENGLISH BY RADIO“ DLA POLSKICH SŁUCHACZY

Wojna kończyła się... Lecz nie przynosiła pokoju dla nas. Zaczynała się demobilizacja... Lecz dziesiątki tysięcy Polaków przechodziło do Polish Resettlement Corps (P.K.P.R.), by przygotować się do życia cywilnego w W. Brytanii, a nie w Polsce. Język angielski stawał się koniecznością dla tych, którzy jeszcze języka tego kraju nie znali. Przybył 2 Korpus gen. Andersa z Włoch. B.B.C. postanowiło przyjść z pomocą i w ramach programów polskich dać wstępny i łatwy kurs języka angielskiego. Powierzono mi opracowanie pierwszych lekcji dwudziestu. Były to prawdziwe „lekcje“: nauczycielką radiową była uroczą aktorka Olive Gregg (pochodząca, zdaje mi się, z Afryki Południowej, która studiując w Oksfordzie czy Cambridge, zainteresowała się językiem polskim i władała nim, zupełnie dobrze, zaś jej „ucznem“ był speaker sekcji polskiej BBC, p. M. Pączosa.

POLSKI TECHNIK W PRZEMYSŁE BRYTYJSKIM

Resettlement... Przystosowanie do życia cywilnego, do przemysłu brytyjskiego. Ale już wcześniej, bo w

roku 1944-ym byłem w kontakcie z Wydziałem Szkół Technicznych i Rzemieślniczych (pod kierownictwem p. mgr. Piotra Wodzianńskiego) naszego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, które przyjęło moją książeczkę pt. „Polski Technik w Przemysle Brytyjskim“. Rozmowy techniczne i słownictwo wypełniły 98 stron tego tomiku, który miał być pierwszym w tej serii. Lecz wojna skończyła się. Ministerstwo nie mogło wydać tej książki. Rękopis zaś przejęła F. P. Agency p. Krajkemana, który zdołał ją wydać w roku 1947. Nie rozumiem, dlaczego ta książeczka, którą uważano za pożyteczną i na czasie — nie poszła, choć była zalecona przez brytyjski War Office do użytku w PKPR, razem z moją Gramatyką i „Korespondencją“.

BĄDŹ DZENTELMENEM! PO „ABC POLSKO-ANGIELSKIM“

Zdawałem sobie sprawę, że „Speak English“ nie wystarczy, że ludzie siedząc w obozach PKPR, odcięci od społeczeństwa brytyjskiego, nie mogą rozumieć ducha i psychologii języka i życia angielskiego, i ich paradoksów. To wykraczało poza ramy samouczków. Wymagało takiego podejścia, jakie zastosowałem wcześniej, bo w 1940-ym, w „A B C polsko-angielskim“; były to wesołe felietony, które drukowała londyńska „Polska Walcząca“, pod redakcją Tymona Terleckiego; felietony moje ilustrowała p. Franciszka Temerson (pod pseudonimem Tef). Żałuję, że z braku miejsca nie mogę przedrukować tu paru „kawałków“ z tych felietonów.

W „Bądź gentlemem“ na 150 stronach, rozpatrywałem na wesoło różne aspekty życia angielskiego: „Panie doktorze! (przez telefon) Proszę prędko! Gotuję się! Mam sto stopni gorączki!!!“ Albo: (przez telefon) „Don't dress (niech się pan nie ubiera). Niech pan przyjdzie na kolację tak jak pan stoi“. A że jegomość właśnie wyszedł z łazienki... Dziś ten dialog językowy byłby już anachronizmem, gdyż mało kto „dress“, czyli wkłada smoking udając się na prywatną kolację. Książka nie poszła. Wytłumaczono mi, że tytuł zawinił: każdy Polak uważał się za dzentel-

mena. Powinno być: Jesteś gentlemem!

MÓWMY PO POLSKU

Już wspomniałem, że p. Lindenfeld dość wcześniej zamówił u mnie „Speak Polish“. Składanie było niełatwe, bo dałem mnóstwo tablic gramatycznych, skrótów i odnośników. Muszę tutaj wspomnieć, że w tej żmudnej i nudnej pracy dużo pomagała mi żona, i wiele innych osób, zbyt wiele, by wszystkie wymieniać. Najwidoczniej nie danym mi było, by wydanie moich książek poszło gładko. Bomba zniszczyła jedną z drukarni, w których Kolin drukował książki, dość, że wydanie „Speak Polish“ ugrzęzło. Zacząłem na nowo szukać wydawcy, z jedynym ocalałym egzemplarzem korekty stronicowej. Zainteresował się „Gryf“, wtedy na Hatton Gardens. Nie pamiętam już, czy brak papieru czy inne względy skłoniły ich do dania mi odpowiedzi odmownej. Lecz gdy zgłosiłem się po odbiór cennego egzemplarza składu stronicowego, okazało się, że ... sprzątaczką wyrzuciła tę paczkę przez pomyłkę. Szczęście w nieszczęściu: drukarz znalazł w swych aktach drugi egzemplarz, który mi pożyczył do sfotografowania... 356 stron... (Xeros jeszcze nie istniał). Drzwi naszego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji na Stratton Street, uchyliły się. Zastanawiali się, czy tę książkę wydać, kiedy pan Krajkeman, który zdołał wydać moje poprzednie książki („Praktyczna Gramatyka dla Anglików“, „Speak English“, „Korespondencja Angielska dla Polaków“, i „Polski Technik w Przemysle Brytyjskim“) zarzucił mi nielojalność. Nie czekając więc na decyzję Ministerstwa wycofałem stamtąd egzemplarz „Speak Polish“ i oddałem p. Krajkemanowi... Tym razem papieru nie zdobył. Przekazał więc „tytuł“ drukarni F. Mildner & Sons, która właśnie zaczynała wydawać polskie książki, głównie dewocyjne. „The easy Way to Speak Polish“ ukazała się w r. 1948, opatrzona przedmową Williama J. Rose, profesora polskiej literatury i historii na Uniwersytecie Londyńskim, dyrektora Szkoły Studiów Słowiańskich i Wschodnio-Europejskich tegoż uniwersytetu.

WIELKA BRYTANIA

O POSK-u W FAWLEY COURT

W ramach akcji informacyjnej o Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym specjalna sekcja pod kierownictwem red. R. A. Zakrzewskiego nie omija żadnej okazji, by jak największe rzesze Polaków zapoznać z pracami i postępem robót w budowie wielkiego centralnego ośrodka emigracyjnego dla polskiego życia społecznego i kulturalnego.

W czasie Zielonych Świąt, w Fawley Court u Ojców Marianów na dorocznym festynie zostało zainstalowane stoisko POSK z okazałym modelem gmachu, pod którego fundamenty poświęcono niedawno kamień węgielny. Ekipa w składzie: A. Moszczyńska, mjr. J. Gurawski.

R. A. Zakrzewski udzielał wszelkich informacji i wyjaśnień oraz przyjmowała zapisy na członków POSK-u. Po przemówieniu ks. biskupa dra Wł. Rubina, stoisko tłumnie odwiedzali przybyli Polacy na festyn w liczbie ponad 5.000.

Ks. biskup Wł. Rubin przemówił do zgromadzonych, kończąc: „POSK nie potrzebuje, sądzę, propagandy, jest idea tak żywą i tak mówiącą za siebie, że wystarczy, aby ktoś troszeczkę pomyślał o potrzebie zespolenia wszystkich wysiłków, aby konkluzją było: **Budujmy jak najszybciej POSK.** Tylko w tej jedności będzie siła naszej wspólnoty w Wielkiej Brytanii i siła tego czego ta wspólnota w przyszłości dokona. Nie pozostaje nic innego, jak żyć i żyć wszystkim tym, którzy się trudzą budowaniem Ośrodka Społeczno-Kulturalnego polskiej wspólnoty w Wielkiej Brytanii, ażeby ich wysiłki dały jak najlepsze rezultaty, jak najszybsze, żebym jeszcze ja za swojego

Z ŻYCIA
POLSKIEGO

Dekoracja Sztandaru szkoły im. S. Żeromskiego Koła SPK Nr. 11/S.W.
Od lewej: W. Sikorski, M. Just-Tegoborski — prezes Koła, A. Moszczyńska, W. Całowa — kierowniczką szkoły, S. Soboniewski — prezes SPK, W. Bryt., poczet sztandarowy — S. Sobaszek, Z. Kątnik, A. Całówna i uczennice — M. Horbaczewska, A. Kaszycka.

Fot.: Julian Photo Studios

MOJA METODA JĘZYKOWA

Pod koniec wojny okazało się w Londynie, że popyt na moją metodę „Parlons Français“ zaczął wzmacniać się. Książka ta była całkowicie wyczerpana, ja sam nie posiadałem ani jednego egzemplarza. Lecz ogłoszenie w „Dzienniku Polskim“ przyniosło mi dwa egzemplarze (z których jeden przeszedł kampanię w Narwik). F. P. Agency (pana Krajemana) zamierzało tę książkę wydać. Jeden z moich egzemplarzy powędrował więc do pewnej drukarni londyńskiej, która obiecała kosztorys. Po kilku tygodniach egzemplarz wrócił do p. Krajemana: drukarz nie może dostać papieru. Lecz ... w parę dni później książka była na półkach księgarń londyńskich!

Na tym skończyła się moja działalność samouczkowa czasu wojny. W roku 1959 zaproponowano mi opracowanie „Nowego Sekretarza Polsko-Angielskiego“. Miało to być rozszerzenie i unowocześnienie mojej książeczki wydanej w 1946 roku. Rozeszło się 5.000 tej książki, jest prawie, że wyczerpana, lecz zapewne wkrótce ukaże się nowe wydanie.

ANGLICY PYTAJĄ...

Niekiedy któryś z przyjaciół angielskich pytał mnie w czasie wojny w kantynie fabrycznej: — Pan zna języki, czy pan kiedyś uczył?

- Niekiedy — burknąłem.
- Francuski?

życia mógł dojść, zobaczyć i poblogosławić już ten Dom tak, jak go widzimy w tej chwili na makiecie — zbudowany, tętniący życiem tych młodych, którzy dzisiaj są młodzi, a za parę lat będą już brali odpowiedzialność i tych, którzy dopiero co rosną, a którzy napełnią rozgwarem młodzieży wiernej Polsce i wiernej Bogu ten Dom Ośrodka Społeczno-Kulturalnego i w tym duchu składam najlepsze życzenia: **Szczęść Boże!**“

SREBRNE GODY KOŁA SPK Nr. 11/
ŚRODKOWY WSCHÓD

Koło SPK Nr. 11 zostało założone na Środkowym Wschodzie w Palestynie 25 lat temu i rozpoczęło swą działalność

- Tak!
- Miał pan dużo uczniów?
- Tu, pamiętając z książki „Bądź gentlemanem“ Zygmunta Frenkla, że Anglicy nie chwala się i zawsze słyną ze swych „understatements“, odpowiedziałem skromnie:
- Około 50.000.
- Hahaha, dobry dowcip. A uczył pan angielskiego też?
- Owszem!
- Też 50.000 uczniów?
- Mniej więcej.
- Hahaha.
- I ten dowcip jest może moim jedynym dorobkiem, i jest bardziej doceniony przez przyjaciół Anglików, niż moje wszystkie podręczniki angielskiego. **Zygmunt Frenkiel**

w ramach Jednostek Wojskowych Środkowego Wschodu pod dowództwem gen. Józefa Wiatra. W roku bieżącym, dla podkreślenia tej więzi z wojskiem i owej przeszłości, gen. J. Wiatr nadał członkom Koła SPK Nr. 11/Śr. Wschód prawo noszenia odznaki pamiątkowej J.W.S.W. 1944-47.

A oto kilka szczegółów z historii Koła. Pod koniec 1946 roku Koło zostało przeniesione do W. Brytanii i tu stało się największym Kołem Oddziału SPK Wielka Brytania, tu działa po dzień dzisiejszy, jako Koło Nr. 11 z dopiskiem Ś.W., zachowując w ten sposób tradycję żołnierza polskiego i b. oddziału SPK ze Środkowego Wschodu.

W latach 1950-tych Koło liczyło ponad 1.200 członków — emigracja do krajów zamorskich, ubytek naturalny przyczyniły się do znacznego spadku tej ilości. Postawa ideowa Koła jest niezachwiana, reprezentuje zawsze ideę bezkompromisowej walki i pracy na rzecz wolności Polski.

W Palestynie Koło organizowało pomoc dla rodzin w Kraju w postaci zorganizowanej akcji wysyłki paczek.

W 1957 roku Koło zorganizowało Londyński Komitet Pomocy Repatriantom z Rosji Sowieckiej, kiedy przekazano do Polski olbrzymią ilość lekarstw i odzieży.

W samych początkach swej działalności Koło założyło Bibliotekę, która liczy dzisiaj ponad 10.000 tomów, a w tym wiele przedwojennych wydawnictw.

W ub. roku urządzono 20-lecie szkoły im. S. Żeromskiego, teraz obchód 25-lecia swojej działalności.

W miarę możliwości Koło pomagało finansowo i organizacyjnie różnym zespołom tanecznym, młodzieżowym, klubom sportowym.

W pierwszej fazie naszego osiedlenia w Londynie organizowano szeroką akcję pośrednictwa pracy dla kolegów, dział opieki, akcję informacyjną, itp. Dzięki funduszom zebranych na Środkowym Wschodzie można było przyjąć z pomocą szkole dla chłopców w Fawley Court w postaci £2.000 i Ośrodkowi Młodzieżowemu przy POSK-u £4.000. Niezależnie od tego Koło ostatnio zakupiło 6 udziałów 10-funtowych w POSK-u, który w najbliższej przyszłości ma być wielkim polskim centrum życia społeczno-kulturalnego na obczyźnie.

W związku z jubileuszem, Koło urządziło obchód 25-lecia w sali sztandarowej Instytutu im. gen. Sikorskiego.

Szkoła im. S. Żeromskiego przy Kole Nr. 11 jest pierwszą szkołą przedmiotów ojezycznych na terenie Londynu. Jest ona wielką troską i chlubą Koła. Przez szkołę przeszło ponad 1.000 dzieci. Na uro-

czystości 25-lecia sztandar szkoły został udekorowany najwyższym odznaczeniem społecznym — Złotą Honorową Odznaką S.P.K. Dekoracji dokonał prezes S. Soboniewski.

A oto krótka historia sztandaru. Wyhaftowany w Kielcach, w 1944 r. przekazany chłopcom ze szkoły w Montpellier we Francji, powędrował z młodymi ochotnikami do Włoch do drugiego Korpusu. Lecz na rozkaz dowództwa, młodociani żołnierze zostali skierowani do szkół junackich w Palestynie. Bronili się przed tym, lecz rozkaz dowódcy gen. Andersa był nieugięty. Z chłopcami powędrował i sztandar do Szkół Junackich. W święto niepodległości, 1946 roku zo-

BELGIA

XXIII. WALNY ZJAZD S.P.K.

6 czerwca br. odbył się w Brukseli XXIII. Walny Zjazd SPK Belgia, poprzedzony nabożeństwem odprawionym przez ks. Karola Brzezińskiego, kapelana SPK w kaplicy Polskiej Misji Katolickiej w Brukseli.

Obrady toczyły się w domu SPK w Brukseli pod przewodnictwem kol. J. Minkiewicza, prezesa SPK i Rady Zjednoczonej Polonii w Holandii, w asyście kol. Janiny Skrzyńskiej-Pierre i sekretarza kol. W. Wojciechowskiego.

Zjazd zagał kol. W. Drozdowski witając obecnych gości i członków-delegatów



Ks. Biskup W. Rubin przed modelem POSK-u

stał on poświęcony i wręczony komendantowi V. Szkoły Junackiej w Beit Naba'a. Gdy przyszedł czas wyjazdu szkół do W. Brytanii, sztandar przeszedł pod opiekę Koła SPK Nr. 11/Ś.W. i odtąd prowadzi dzieciom w polskiej szkole im. S. Żeromskiego.

Prezes Soboniewski w swoim przemówieniu na obchodzie jubileuszowym na zakończenie powiedział: „... że Koło SPK Nr. 11/Ś.W. dobrze zasłużyło się w swej 25-letniej pracy całości Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i zapisało się pięknymi zgłoskami w pracy społeczno-narodowej, służąc wiernie Polsce“

Anna Moszczyńska

Kół SPK i zarządził jednogminutową ciszę dla oddania hołdu poległym na Wybrzeżu, rocznicy zgonu śp. gen. Andersa i zmarłych Koleżanek i Kolegów: Aleksandra Dłuska (Bruksela), Aniela Krupa-Ziółko (Brabant), Marceli Dogilewski (Bruksela), Jan Lipczyński (Brabant), Bogdan Werner (Bruksela), Władysław Mrówczyński (Mons) i Stanisław Domański (Francja).

Życzenia Zjazdowi składali ks. dr K. Brzeziński, kol. J. Minkiewicz z Holandii, p. dr Edward Pomorski, Zw. Polaków oraz kol. S. Kochanek, delegat SLP. Następnie odczytano nadesłane listy z życzeniami od: ks. Rektora H. Repka, Polska Misja Katolicka w Belgii; SPK Za-

rząd Główny — Londyn; SPK W. Brytania; SPK Francja; SPK Italia; SPK Norwegia; SPK Australia; SPK Brazylia; SPK Stany Zjednoczone Ameryki Północnej; SPK Niemcy Zachodnie; SPK Urugwaj i Polska Kolonia b. Wojskowych i Stowarzyszenie Katolickie w Gandawie.

Kol. S. Merło odczytał oświadczenie organizacji b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych w USA i Odezwę studentów z Polski.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z ostatniego Zjazdu przystąpiono do sprawozdań ustępujących władz. Sprawozdania kolejno składali kol. W. Drozdowski, prezes, kol. S. Merło, jako wiceprezes, sekretarz generalny i p.o. skarbnika (na skutek choroby kol. S. Lebelta). Kol. K. Piętka w zastępstwie chorego kol. S. Bieńczyckiego składał sprawozdanie Komisji Rewizyjnej. W sprawozdaniach Kół SPK zabierali głos kol.kol. W. Drozdowski, K. Piętka — Koło Bruksela, podkreślając wysiłek włożony w utrzymanie domu w Brukseli i przeprowadzenie formalności przy uzyskaniu „s.b.l.” (T-wo bez celu lukratywnego). Koło Charleroi sprawozdanie składał kol. J. Kuzak, Koło Eisden — kol. Bielawski, SPK Brabant — sprawozdanie złożył kol. S. Merło. Po udzieleniu absolutorium ustępującym władzom przystąpiono do wyboru nowych władz SPK BELGIA, które wybrano w składzie: prezes — kol. W. Drozdowski, sekretarz — kol. S. Merło, skarbnik — kol. S. Lebelt, członkowie Zarządu: kol.kol. J. Czarkowski, J. Goppold, L. Brzeźniowski, Janina Skrzyńska-Pierre, B. Recki. Komisja Rewizyjna: przewodniczący kol. S. Bieńczycki, członkowie kol.kol. J. Czetwertyński, K. Piętka, S. Kochanek, M. Dulak. Sąd koleżeński: przewodniczący — kol. W. Dehnel, członkowie: kol.kol. J. Rząd, J. Burezyk, K. Ullman, K. Włodarczyk.

Uchwalono wysłać listy do Ks. Biskupa W. Rubina z prośbą o przekazanie uchwały Zjazdu Ks. Prymasowi St. Wyszyńskiemu i do gen. S. Kopańskiego z pozdrowieniami żołnierskimi.

Powzięto następującą rezolucję: 1) Nie ustaniemy w walce o Polskę Wolną, Niepodległą i Polskę bez moskiewskiego okupanta. W walce tej łączymy się z Narodem polskim, który dał wyraz swojej postawy w grudniu 1970 roku. 2) W 50-lecie sakry kapłańskiej Ks. Kardynała Wyszyńskiego składamy hołd i życzymy daśzej wytrwałej postawy dla dobra Kościoła i Narodu. 3) Naród polski nigdy nie pogodzi się z narzuconym systemem rządów komunistycznych bez względu na zmianę warty w Warszawie. 4) Domagamy się ukarania sprawców zbrodni katyńskiej. Ludobójcy muszą stanąć przed Trybunałem Sprawiedliwości ONZ. 5)

Domagamy się zwolnienia i wypuszczenia z Sowietów żołnierzy polskich uwięzionych z 1939 roku, żołnierzy AK i tysięcy innych naszych Rodaków trzymanych w więzieniach i obozach pracy przymusowej. Wzywamy Ligę Obrony Praw Człowieka do zajęcia się tą sprawą. 6) Protestujemy przeciwko dalszej ekspansji kolonialnej Rosji i przeciwko jarzmu imperium sowieckiego narzuconemu Polsce i narodom Europy Środkowo-Wschodniej i narodom azjatyckim. 7) Uważamy, że wszelka współpraca z reżymem w Polsce jest niedopuszczalna. Taka współpraca stanowi zdradę niepodległościowej emigracji.

S. M.

FRANCJA

ZEBRANIE FRANCUSKIEJ RADY SOLIDARNOŚCI Z NARODAMI WSCHODNIEJ EUROPY

W dniu 27 maja br. odbyło się w Domu Kombatantów w Paryżu zebranie informacyjne stworzonego ostatnio F.R.S. N.W.E. (Conseil Français de Solidarité avec les Peuples de l'Europe de l'Est). W zebraniu wzięło udział ponad 70 osób, w tym liczni Francuzi.

Pomysł powołania do życia wymienionego Stowarzyszenia wyłonił się po wypadkach grudniowych na Wybrzeżu bałtyckim. Grupa młodzieży oburzona brakiem reakcji na wypadki te wśród opinii publicznej francuskiej, a także stanowiskiem zajęтым wobec nich przez prasę, radio i telewizję tego kraju, zwróciła się do ugrupowań emigracji politycznej krajów za żelazną kurtyną celem wspólnego wyłonienia Komitetu porozumiewawczego i skoordynowania akcji protestacyjnej i propagandowej. W pierwszym rzędzie chodzi o stałe informowanie opinii publicznej o rzeczywistej sytuacji w tych krajach, o prostowanie kłamliwych celowo rozpowszechnianych wiadomości przez propagandę urzędową tych krajów — jednym słowem o zainteresowanie opinii publicznej francuskiej tymi problemami. Pierwszym występowaniem tego Komitetu było zorganizowanie manifestacji publicznej dla zaprotestowania przeciw metodom stosowanym przez komunistyczny rząd P.R.L. przez tłumienie rewolty robotników wybrzeża bałtyckiego oraz uczczenie 3 rocznicy śmierci Jana Palacha.

Władze francuskie zakazały tej manifestacji i zgrupowana liczna publiczność zmuszona została przez policję do rozzejścia się. Zakaz ten, zupełnie nie umotywowany, w okresie gdy odbywały się gwałtowne i burzliwe manifestacje przeciwko procesowi w Burgos wywołał szereg protestów, m.in. interpelację w Izbie Deputowanych — a inicjatorów utwier-

dził w przekonaniu o konieczności zdecydowanej akcji idącej w kierunku uświadomienia opinii publicznej o problemie 100,000,000 Europejczyków, którzy znaleźli się pod okupacją sowiecką. Statut Stowarzyszenia został złożony do zatwierdzenia przez władze francuskie. Został powołany Komitet Honorowy oraz zostanie wyłonionych szereg Sekcji, a mianowicie: informacyjno-prasowa, propagandowa, kulturalna, artystyczna, naukowa i administracyjna.

Naależy mieć nadzieję, że od lat rozproszona działalność emigracji politycznej krajów ujarzmionych zostanie należycie skoordynowana i okaże się skuteczną.

WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK PARYŻ

18 maja br. odbyło się w Domu Kombatanta w Paryżu Walne Zebranie Koła SPK-Paryż.

Przewodniczący zebrania kol. M. Serafiński, zwrócił się do zebranych o uczczenie chwilą ciszy pamięci zmarłych śp. gen. W. Andersa oraz śp. St. Domańskiego po czym do prezydium wybrano: gen. Jaklicza i kol.kol. Gordowskiego i Jaculewicza. Sprawozdanie z działalności Zarządu za rok 1970 wygłosił kol. J. Kossowski — prezes Zarządu, po czym kol. Alwast — skarbnik, złożył sprawozdanie finansowe. Kol. Serafiński odczytał sprawozdanie Komisji Rewizyjnej. Nad sprawozdaniem wywiązała się ożywiona dyskusja, po zakończeniu której wnioski o udzielenie absolutorium zostały uchwalone jednogłośnie. Do nowych władz Koła zostali wybrani: kol. Bobowski — prezes oraz kol. kol.: Alwast, Bartkowski, Brodzki, Jaculewicz, Kuczkowski i Serafiński. Do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: kol. kol. Paczyński, Dzieciuch i Kossowski. Do Sądu Koleżeńskiego weszli: gen. J. Jaklicz — przewodniczący oraz kol. kol.: Gordowski, Jagiełłowicz, Parczewski, Tokarski i Wallich. Na delegatów na Zjazd Kół SPK we Francji zostali wybrani kol. kol.: Bobowski, Czarnecki, Gordowski, Paczyński, Serafiński, Tokarski, Tysowski, Żeleński i Żłobnicki.

PIELGRZYMKA NA CMENTARZ POLSKI W MONTMORENCY

Tradycyjna, od wielu dziesiątków lat organizowana przez Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie, pielgrzymka na cmentarz polski w Montmorency odbyła się w niedzielę dnia 23 maja br. Po nabożeństwie w kościele w Montmorency, które odprawił J.E. ks. Jan Rupp, biskup Monaco, licznie zgromadzeni zebrani udali się wraz z pocztami sztan-

darowymi na cmentarz. Zostały złożone wieńce kwiatów na grobach A. Mickiewicza, J. U. Niemcewicza, gen. Kniaziewicza oraz przed pomnikiem żołnierzy i ofiar polskich ostatniej wojny.

WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK MARSYLIA

Walne Zebranie Koła SPK-Marsylia odbyło się dnia 4 kwietnia 1971 roku pod przewodnictwem kol. Marszałka. Kol. Klemensiewicz — prezes Zarządu, odczytał sprawozdanie z działalności Zarządu za ubiegłą kadencję. Kol. Horodyski odczytał sprawozdanie kasowe, po czym kol. Sapiński — prezes Komisji Rewizyjnej, zdał sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli księgowości Koła i postawił wniosek o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi. Wniosek ten został przyjęty jednogłośnie.

Po wyborach odbyła się dyskusja, podczas której został omówiony program działalności Zarządu Koła na przyszłą kadencję.

WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK LILLE

W niedzielę dnia 4 kwietnia 1971 roku odbyło się w Domu Kombatanta w Lille doroczne Walne Zebranie Koła SPK-Lille. Po złożeniu sprawozdania z działalności Zarządu przez kol. E. Tuszewskiego oraz sprawozdania z kontroli gospodarki pieniężnej Zarządu przez Komisję Rewizyjną i po udzieleniu absolutorium do nowego Zarządu zostali wybrani kol. kol.: Tuszewski, Grabowski, Janowski, Kupczyk, Witamborski i Zablocki. Do Komisji Rewizyjnej weszli kol. kol.: Rokicki, Pelka i Srocki. Na przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego został wybrany kol. Zubek.

SZWAJCARIA

OBCHÓD 3 MAJA W SZWAJCARII

W nieco późniejszym terminie niż przypada rocznica, odbył się w Zürichu obchód 3 Maja zorganizowany przez Pol-

ski Komitet Międzyorganizacyjny, który składa się z przedstawicieli sześciu organizacji mających siedzibę w mieście nad Limmatem. Komitet urzęduje wszystkie ważniejsze uroczystości zmieniając co roku kolejność w organizacji. W tym roku gospodarzem jest Koło SPK.

Przywitał gości Józef Kuczyński, prezes Koła i tegoroczny przewodniczący Komitetu. Następnie referat pt.: „Kraj i Emigracja“ wygłosił Kazimierz F. Vincenz. W drugiej części odczytu przedstawił mówca przypadającą właśnie 50-tą rocznicę III Powstania Górnosąbskiego, jego ogromne znaczenie w odzyskaniu bodaj części starych piastowskich i rdzennie polskich ziem. W dalszej części programu młodociane artystki Anna Dobrowolska odegrała na skrzypcach polskie piosenki ludowe, a Marysia Morkowska deklamowała wiersze Teofila Lenartowicza. Bogata loteria fantowa i wspólna kolacja przyczyniły się do przyjemnego nastroju. Tańce modne i niemodne przy muzyce „taśmowej“ uzupełniły całość, tańczyli młodzi i starzy.

Wystawa Kiermaszu Książki Polskiej obchodzącego 21-lecie pierwszej wystawy właśnie na obchodzie rocznicy Majowej była w karierze Kiermaszu 292 wystawą. Ogólnie od roku 1950 Kiermasz sprzedał ponad 15.000 różnych książek — polskich i tłumaczeń.

Salę pięknie udekorował art. malarz p. Tadeusz Wojnarski.

Wojciech Przybyłowski

MUZEUM KOŚCIUSZKI W SOLURZE WZBOGACONE WSPANIAŁYM EKSPONATEM

Pani Ella Benbassat z Genewy złożyła w darze Towarzystwu Kościuszki w Solurze obraz Wojciecha Kossaka „Przysięga Tadeusza Kościuszki na rynku krakowskim“.

* * *

Warto zaznaczyć się z historią tego obrazu. Otóż Wojciech Kossak namalował go w 1911 roku — u dołu obrazu jest wyraźny i znany podpis malarza z

datą, bezsprzeczna autentyczność została stwierdzona. Gdzie i dla kogo był on przeznaczony nie wiadomo (o ile pamiętam podobnych obrazów namalował W. Kossak też kilka). Także nie jest mi wiadome czy był reprodukowany wydaje się, że nie. Gdzie przebywał do 1917 roku, pewno w domu malarza, bo w 1917 roku zakupił go bezpośrednio od mistrza p. Feuerstein znany i bardzo zamożny przemysłowiec naftowy w dawnej Galicji, którego żona pochodziła też z rodziny przemysłowców Gartenberg Schreierów właścicieli kopalni naftowych „Urycka Spółka Naftowa“ obok Borysławia. Kiedy córka pp. Feuersteinów, Ella wychodziła w roku 1932 za mąż otrzymała go od matki (ojciec już nie żył) jako prezent ślubny. Mąż p. Elly p. Benbassat mieszkał we Wiedniu i tam też zabrano obraz — prezent ślubny. W roku 1939 przed wybuchem wojny i kiedy zapowiadały się prześladowania Żydów pp. Benbassat przenieśli się wraz z całym umeblowaniem w tym oczywiście, i obrazem Kossaka do Bukaresztu. Dodać tu należy, że p. Benbassat pochodzi z Bułgarii, ale jest obywatelam hiszpańskim. W roku 1942 udało się pp. Benbassat przenieść się do Genewy, a w 1946 roku do Paryża, wreszcie w 1961 roku powrócili do Genewy, gdzie dotąd mieszkają. We wszystkich tych podróżach towarzyszył im obraz Kossaka i mimo licznych przepraw w warunkach niekorzystnych nie ucierpiał.

Zarząd Towarzystwa przyjął piękny dar, co wpisane zostało do księgi pamiątkowej muzeum. Dokument podpisali prezes dr Urs Dietschi, skarbnik Johann Arnold With, sekretarz dr Oskar Odermatt, kustoszka muzeum Adele Tatarnoff-Eggeschwiler i piszący te słowa.

Kazimierz F. Vincenz

W KSIĘGARNI SPK KUPI SZ KAŻDĄ KSIĄŻKĘ!

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0679 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na płd. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-. dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Depiata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

POSZUKIWANIE

Poszukuję brata Ryszarda Marciniaka, ur. w Łomży, woj. białostockie, w r. 1926, syna Jana i Aleksandry. Był w 2 Korpusie, a po wojnie mieszkał w Toronto w Kanadzie. Osoby, które posiadają jakiegokolwiek wiadomości o nim, proszę o napisanie pod adres:

Irena Guberman, 109, Miller Street, O'Connor, Canberra, A. C. T. 2691, AUSTRALIA.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młdzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 7 p.

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 16 p.

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

INSTYTUT LITERACKI DOKUMENTY

**POZNAŃ 1956 —
GRUDZIEŃ 1970**

Str. 226

Cena: £1.60, F.18.50, dol. 4.00

KSIĘGARNIA SPK
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

B.D.I.C

IDEALNY PODAREK DLA NASZYCH NASTOLATKÓW

Niezwykłe ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu
Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 63 p.

Zamówienia przyjmuje:

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W.7.

OGŁOSZENIE

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM”,
czytają Polacy
w 25 krajach świata.

K R Z Y Ż Ó W K A NR 140/71

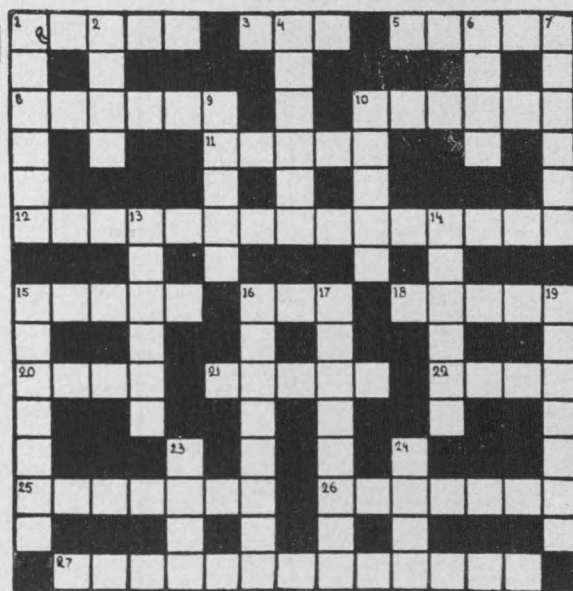
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) towarzyszy każdej uroczystości; 3) i 16) pisywał o dalekiej amerykańskiej północy; 8) nauczyciel Chopina; 10) węgierski kompozytor (wspak); 11) wybór; 12) dwukolorowa powieść francuska (8, 1, 6); 15) i 18) zaadresowany projekt?; 20) Senatus Populusque Romanus; 21) postać z sielanki; 22) milczą, gdy dusza śpiewa; 25) dowódca Armii Krajowej; 26) skarb nawet najbiedniejszego; 27) szybko, ale staromodnie (2, 3, 8).

Pionowe: 1) biblijny symbol używania życia; 2) lśni rankiem na kwiatkach; 4) aplauz (l. mn.); 6) potrzebna do życia; 7) siedziba księcia Jeremiego; 9) automat; 10) resztki pnia; 13) sprawozdanie; 14) umiła życie wiernemu mahometaninowi, ale ponoć dopiero w raju (wspak); 15) występują w szopce (l. p.); 16) coś w rodzaju lekarstwa; 17) onego czasu; 19) tam zginął Byron (wspak); 23) można nim łowić łus strzyce; 24) plynna choroba (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 139/71

Poziome: 1) i 5) Sarbiewski, 3) i 16) Gracja, 8) Makbet, 10) siodła, 11) rączy,



12) Chilo Chilonides, 15) i 18) parweniusz, 20) klan, 21) nerwy, 22) doza, 25) zawodnik (wspak), 26) emulsja, 27) niedźwiedzica.

Pionowe: 1) szmelc, 2) roki, 4) Rzecki, 6) sądy, 7) szlaki (wspak), 9) tracz, 10) synod, 13) lawina, 14) Iliada, 15) Pokucie, 16) cietrzew, 17) akwarele, 19) kartacz (wspak), 23) i 24) Owidiusz.

BIBLIOTEKI „KULTURY“

Tom 201 — Bogdan Czaykowski

POINT-NO-POINT

(Poezje)

Str. 96.

Cena: F. 10.00 (dol. 2.26; £0.93)

★

Tom 202 — Seria „Dokumenty“

POZNAŃ 1956

GRUDZIEŃ 1970

m. in.

Tom zawiera następujące opracowania:

Kronika wydarzeń: Grudzień 1970 - Luty 1971 ● Biurokratycznych rządów ciąg dalszy ● Sylwetki nowej ekipy ● Pozycja Kościoła ● Poznań 1956.

Str. 228.

Cena: F. 18.50 (dol. 4.00; £1.60)

★

Tom 203 — Aleksander Sołżenicyn

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Str. 480.

Cena: F. 40.00 (dol. 8.50; £4.30)

★

Tom 204 — Witold Gombrowicz

T E A T R

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH“

(Iwona księżniczka Burgunda ● Ślub ● Operetka)

Cena: £1.60; dol. 4.00; F. 18.50

★

TOMASZ STALIŃSKI

CIENIE W PIECZARZE

nowa powieść autora książki „Widziane z góry“, tematem której jest inteligencja polska w Kraju.

Str. 368.

Cena: £2.05; dol. 6.00; F. 30.00

★

ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

zawiera m.in.: Charles de Gaulle — Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę; Gen. Sztienienko — Powstanie Warszawskie; Pamięci Heleny Radlińskiej — wspomnienia Marij Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pelczyńskiej, J. Różankowskiej, J. Hoffmana, A. Bogusławskiej. Polemiki — książki — listy do redakcji.

